



likwidacja
seniora



niedziela
na bialo



polskie
płuca



blu dżins
blus

UNIVERSALNA BIBLIOTEKA
8-9

KONTAKTY

ŁOMŻYNSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

24

(296)

KONTAKTY
1986-06-15

cena
15 zł



turniej dla pogodnych

cofka

Maria Kaczyńska

Młyn wodny jest w Karwowie od niepamiętnych czasów. Ostatni przed Rybackim jego właściciel, Niemiec, uciekł w 1945 r. Gospodarze z Karwowa rzucili się na opuszczony dobytek. Doszło do sprzeczki i ktoś budynek podpalił. Spłonęły również drewniane urządzenia do piętrzenia wody. Edmund Rybacki, syn młynarza z pobliskiego Chrzanowa, sprowadził się do Karwowa w 1946 r. W 1948 uzyskał od starosty grajewskiego pozwolenie na piętrzenie wody na okres 35 lat; w krótkim czasie odbudował młyn i jaz. Przez 35 lat młł zboże rolnikom z bliższej i dalszej okolicy.

nie będę parobkiem

— W czterdziestym szóstym była między mną a wsią umowa — mówi Edmund Rybacki. — Oni wydzierżawili mi działkę po Niemcu pod budowę młyna (myśleli, że jest to własność wsi), a ja się zobowiązałem do mielenia za darmo przez 35 lat ich zboża. Z umowy się wywiązywałem, choć mnie wykorzystywali: przywozili zboże krewniaków z sąsiednich wsi i szło to na ich konto. Nie musiałem tego robić; okazało się, że działka jest własnością państwa. Nabyłem ją aktem notarialnym. Przed wsią nie wydałem się z tego sekretu; chciałem mieć spokój. Minęło trzydzieści pięć lat. Powiedziałem im: „Koniec. Nie będę dłużej, waszym parobkiem. Teraz płacicie!” Oni na to: „Tak? To spieprzaj! My sobie weźmiemy drugiego młynarza”. I zaczęli pisać skargi, że niby im, piętrząc wodę przy młynie, łaki zalewam.

Koniec maja. Wissa płynię leniwie swoim korytem. W młynie dudnią żarna, ale nie napędza ich woda. Jesienią ubiegłego roku Rejon Dróg Publicznych z Grajewa rozpoczął w Karwowie budowę nowego mostu wraz z jazem; most zbudowany przez Rybackiego po wojnie zmurował i groził zawaleniem.

Rybacki obserwuje snujących się robotników i aż go skręca w środku ze złości. On w czterdziestym ósmym roku sam uwinął się z robotą w dwa miesiące. Zbudował porządną drewniany most i jaz tak solidny, że beton fundamentów musieli wysadzać prochem. A ci teraz grzebią się już siódmy miesiąc i końca nie widać. Mówią, że w tym roku budowy na pewno nie sfinalizują. Zbierają się o dziesiątej, machną dwa razy łopatą i sia-

W NASTĘPNYM NUMERZE: oszczędzanie czy gospodarowanie, a może tylko nierozrzutność? ♦ strapienie na 16 wsi i jedno Szepietowo ♦ bzdurna reszłówka ♦ Poready chcą bliżej kultury ♦ powtórki w życiorysie niepospolitym, czyli gorzki chleb racjonalizatora ♦ przegląd Przeglądu ♦ Sade i Alison Moyet.

PRZED X ZJAZDEM delegacji województwa łomżyńskiego rozpoczęli serię spotkań z przedstawicielami różnych środowisk społecznych i zawodowych, by przedyskutować wspólnie roboczy projekt uchwały X Zjazdu.

KOMISJA OŚWIATY I WYCHOWANIA NK ZSL oraz wojewódzkie komitety ZSL w Białymstoku, Łomży i Suwałkach omawiały stan i perspektywy wiejskiej oświaty w makroregionie.

Z DZIENNIKARZAMI łomżyńskimi spotkał się I sekretarz KW PZPR, Mieczysław Czerniawski. Omawiano problemy środowiska oraz funkcjonowanie prasy. W liście gratulacyjnym I sekretarz przekazał zespółowi „Kontaktów” z okazji otrzymania nagrody „Życia i Partii” znalazły się m.in. takie słowa: „Partia opowiada się za swobodą wypowiedzianą poglądów [...], za otwartym i ambitnym charakterem działalności dziennikarskiej” — przypominając tę myśl zawartą w projekcie programu PZPR, pragnę zapewnić was, szanowni towarzysze, iż zawsze możecie liczyć na pomoc wojewódzkiej organizacji w pełnieniu waszej odpowiedzialnej służby społecznej”.

PRZED TRZEMA LATY Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej został przeniesiony w Warszawie do Łomży. Sprawozdanie z jego działalności za ten okres wskazuje, że przenosiny nie wyszły Towarzystwu na zlec. Po wytrwałych bojach udało się nie tylko zrobić niewielki lokalik i sprowadzić z Warszawy archiwum, lecz także bardzo ożywić m.in. działalność wydawniczą oraz zyskać sporo nowych członków, szczególnie zbiorowych. Towarzystwo było również inicjatorem, konsultantem lub współautorem ważnych dla województwa wydarzeń społecznych i kulturalnych. Spotkało się więc zasłużyć z dowodami uznania: Zarząd Główny (a w rok później także Oddział Łomżyński) otrzymał zbiorową odznakę „Za Zasługi dla Województwa Łomżyńskiego” i „Opiekuna Miejsca Pamięci Narodowej” oraz Krzyż „Za Zasługi dla ZHP”. 13 czerwca Towarzystwo wybierze nowe władze Zarządu Głównego, a 14 i 15 szkoły łomżyńskie będą gościć swych byłych wychowanków. Wszystkich odwiedzających miasto swych młodzieńcych lat serdecznie witamy.

ROLNICTWO ŁOMŻYŃSKIE w tym roku charakteryzuje się dużą dynamiką skupu owiec, trzody chlewnej i bydła rzeźnego oraz mniejszym skupem mleka. Niedostateczną jest zaopatrzenie w nawozy, środki do ochrony roślin, zwłaszcza herbicydy, oraz opony ciągnikowe i pasze przemysłowe. Zadowolona dotychczasowy przebieg konserwacji urządzeń melioracyjnych, jednak realizacja planu może być zagrożona z powodu braku cementu. Sprawnie przebiegają pierwsze sianokosy, szczególnie w południowej części województwa. Nie zabraknie sznurka do wiązałek.

ROLA I ZADANIA inteligencji w życiu społeczno-politycznym i gospodarczym kraju były tematem seminarium członków Kół Młodych Demokratów województwa łomżyńskiego. W jego programie znalazło się także spotkanie z Józefem Mierzejewskim, przewodniczącym ZW ZSMP, delegatem na X Zjazd PZPR.

Z 318 PROJEKTÓW wynalazczych zgłoszonych w ubiegłym roku w woj. łomżyńskim, komisje przyjechały do zastosowania 265, z czego wdrożono — 199. Już uzyskane efekty ekonomiczne wynoszą 152 mln zł. Projekty zgłosiło 384 autorów, z tego 134 robotników i 64 ludzi do lat 30. Jeden zastosowany projekt wynalazczy daje 766,5 tys. zł efektów ekonomicznych; 1 złotówka zainwestowana w wynalazki przynosi 8,4 zł oszczędności. Najwyższe efekty z tytułu wdrożonych wynalazków osiągnęły: Zakłady Płyt Włókowych w Grajewie (83 mln zł), Fabryka Aparatury i Urządzeń Komunalnych w Łomży (15 mln) i LZPB „Narew” (10 mln).

CZYTELNICZY ZGLASZAJĄ NAM, że kierowcy PKS coraz częściej żądają dodatkowych opłat za bagaż,

czasem nawet niewielki. Ponieważ kierowcy przypominają sobie dość nieoczekiwanie o rozprządzeniu obowiązyującym już od dość dawna, przypominamy tylko, że dodatkowej opłacie podlegają wyłącznie bagaże o wadze powyżej 20 kg lub takie, których suma trzech wymiarów przekracza dwa metry. Cena biletu bagażowego rośnie proporcjonalnie do ceny biletu osobowego.

NOWE CENY propanu-butanu wciąż zaskakują niektórych mieszkańców. Informujemy więc, że sam gaz w 11-kilogramowej butli kosztuje 440 zł, natomiast koszt transportu w mieście wynosi kolejne 120 zł, do 18 km — 140, a do 32 km — 180 zł. Przedsiębiorstwa nie korzystają ze zniżek i placą za gaz cenę podstawową — 528 zł. „Kor-gaz” nie przewiduje już w tym roku następnych podwyżek ani też perturbacji w dostawach.

MŁODZIEŻ SZKOLNA bardzo dobrze zaprezentowała się podczas tegorocznych Łomżyńskich Dni Sportu. Szczególnie cieszą wyniki osiągane przez uczniów niedużych szkół terenowych.

WYSTAWA PRAC plastycznych i technicznych uczniów gminy Łomża po raz pierwszy zorganizowana w tym roku w siedzibie władz gminnych przy ul. Turlejskiej świadczy o dobrej pracy dzieci i ich nauczycieli. Uczniowie różnych szkół odwiedzając wystawę nie tylko poeziują sztukę swoich rówieśników, lecz spotykają się też — w ramach lekcji wychowania obywatelskiego — z władzami politycznymi i administracyjnymi gminy.

OSMOKLASISCI już dokonali wyboru szkół, w których będą kontynuować naukę. Największą konkurencją jest w średnich szkołach zawodowych, przede wszystkim o specjalnościach: elektrycznej, mechanicznej i ekonomicznej. Ze szkół rolniczych jedynie Technikum Weterynaryjne i ZSR w Marianowie nie mają problemów z naborem. Mniej niż zazwyczaj kandydatów zgłosiło się do Liceum Medycznego w Łomży i praktycznie nie ma „nadwyżek”. Podobnie jest w Liceum Ogólnokształcącym. Z zasadniczych szkół zawodowych najbardziej obleganym kierunkiem jest ekonomiczny i drzewny.

„VARSOVIA” — dziecięcy zespół zwany małym „Mazowszem” podbił serca swych łomżyńskich rówieśników oraz dorosłej publiczności podczas występów z okazji Dnia Dziecka. Święto maluchów udało się również w tym roku: mimo kapryśnej pogody na dziecięcych buziach więcej było uśmiechu niż w powszednie dni.

PROKURATOR REJONOWY w Wysokim Mazowieckim informuje, iż skierował do Sądu Wojewódzkiego w Łomży akt oskarżenia przeciwko Henrykowi G., Mieczysławowi Wojciechowi K. i Sławomirowi Józefowi P. Dwaj pierwsi od września do 28 grudnia 1985 r. dokonali w Czyżewie dwóch kradzieży z włamaniem do Wiejskiego Domu Handlowego. Henryk G. zagarnął artykuły przemysłowe wartości nie mniejszej niż 1 128 229 zł, a Mieczysław K. — 462 279 zł. Sławomir P. natomiast nabył część skradzionego mienia od Henryka G. Henryk G. i Mieczysław K. zostali tymczasowo aresztowani. Grozi im kara pozbawienia wolności od lat 5 do 15, a nawet 25, oraz grzywna w wysokości nie mniejszej niż wartość zagarniętego mienia i pozbawienie praw publicznych na okres od roku do lat 10.

ZALEDWIE KILKA osób dziennie odwiedza dział zbiorów specjalnych Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łomży przy ul. Bliskiej 5, czynny w godzinach 12.00—18.00.

Można w nim bez opłaty przegrywać płyty i kasety (języki obce, muzyka), a za symboliczne opłaty wypożyczać płyty, taśmy i obrazy (np. 10 zł za dwutygodniowe wypożyczenie płyty gramofonowej lub kasety).

KONKURSY. Tygodnik „Odrodzenie” przypomina, że 30 czerwca mija termin nadsyłania prac na konkurs „Meje dokonania w radzie narodowej”.

Redakcja tygodnika „Prawo i Życie” zaprasza do udziału w do-ręcznym konkursie na reportaże sądowy, nie stanowiący jednak opisu własnej sprawy. Organizatorów interesują zarówno sprawy ze sfery prawa karnego, jak i cywilnego, rodzinnego czy administracyjnego. Prace w objętości do 14 stron maszynopisu i opatrzone godłem wraz z kopertą zawierającą dane o autorze należy nadesłać pod adresem redakcji do 15 lipca br.

„O KWIAT AKACJI” po raz drugi będą ubiegać się młodzi poeci. Trzy konkursowe wiersze można nadsyłać do 15 lipca do organizatora konkursu — MDK-DSF w Łomży.

PERSONALIA. W Urzędzie Wojewódzkim powołani zostali: na dyr. Wydziału Organizacyjnego — Antoni Władysław Malinowski, na zastępcę przewodniczącego Komisji Planowania — Antoni Stokowski, na zastępcę dyr. Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami — Marian Brożyna, na pełnomocnika wojewody ds. młodzieży — Andrzej Kopka, na zastępcę dyr. Wydziału Kadr i Szkolenia — Janina Chmielewska, na zastępcę dyr. Biura WRN — Danuta Zukowska, a nowo utworzonemu na zasadach wydziału sekretariatu Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego szefuje Elżbieta Królik. Od 1 czerwca funkcję naczelnika miasta i gminy Goniadz pełni Adam Grabowski (l. 38), mgr pedagogiki.

NAGRODĘ im. Juliana Bruna — przyznawaną młodym, ambitnym reporterom — otrzymał red. Ireneusz Sewastianowicz z suwalskich „Krajobrazów”. Serdecznie gratulujemy! Przypominamy przy okazji, że jest to już trzecia taka nagroda przyznana w ciągu ostatnich czterech lat dziennikarzowi regionu północno-wschodniego: w 1983 otrzymał ją Władysław Tocki, a w 1985 — Adam Socha, obaj z „Kontaktów”.

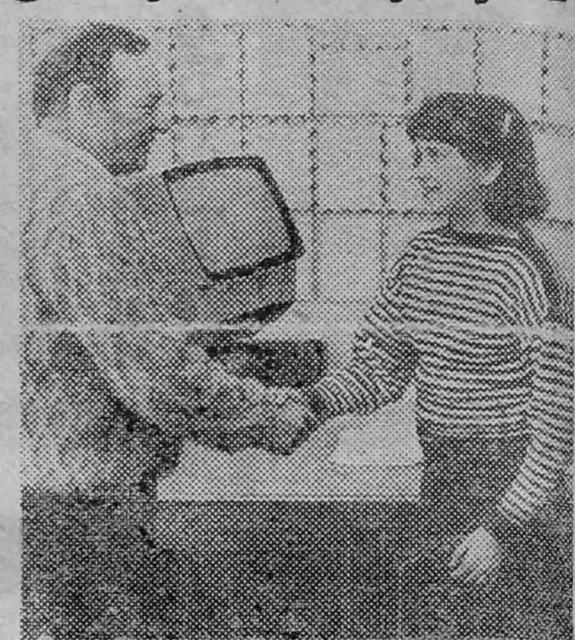
GOŚCILI W ŁOMŻY

Delegacja z Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej w składzie: Romualdas Cincenas — zastępca kierownika Wydziału Organizacyjnego KC Litwy, Leonardas Bogusko — inspektor Wydziału Organizacyjnego KC Litwy, Alfonsas Swirynas — II sekretarz Komitetu Rejonowego w Ignalinie, Regimantas Zinkas — kierownik Wydziału Organizacyjnego Komitetu Miejskiego w Pajewieżyście; ośmiuosobowa grupa przedstawicieli Zjednoczenia Wzajemnej Pomocy Chłopskiej z NRD (na zaproszenie Wojewódzkiego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych); poseł Kazimierz Morawski, członek Rady Państwa — na spotkaniu z Inteligencją katolicką; Andrzej Maciałowicz, zastępca kierownika Wydziału Polityki Społecznej CK Stronnictwa Demokratycznego, dr Andrzej Gdula, dyrektor Departamentu Ekonomicznego Urzędu Gospodarki Morskiej (uczestniczyli w seminarium Kół Młodych Demokratów).

zaprosili nas

Rada i Zarząd Spółdzielni Rzemieślniczej Rzemiosł Różnych w Łomży — na walne zgromadzenie członków; Liga Kobiet Polskich — na III Wojewódzki Zjazd; absolwenci Liceum Pedagogicznego w Ostrołęce — na zjazd koleżeń-ski; Zespół Szkół Ogólnokształcących w Zambrowie — na uroczystości rozdania świadectw dojrzałości; ciecchanowiecka filia Społecznego Ogniska Muzycznego — na uroczyste zakończenie roku szkolnego. Serdecznie dziękujemy.

głosujesz — decydujesz



Monika Radwańska ma 12 lat i chodzi do V klasy w Katkach Wrocławskich. To jej kartę z głosem na „Powrót do Edenu” wylosowała sierotka redakcyjna, po rozstrzygnięciu plebiscytu „Kontaktów”. Przy odbiorze nagrody (do redakcji dowiódł ją ojciec, z zawodu kolejarz-maszynista, który nie mógł się nadziwić egzotyce przejazdu pociągami z Warszawy do Łomży) — telewizora turystycznego typu Neptun 150C, ufundowanego przez łomżyńskie WPHW — powiedziała: — Wasze pismo znam. Czytałam teksty z „Fan-klubu” i „Isaurę”. Ten serial telewizyjny bardziej podobał się od „Powrotu do Edenu”, ponieważ mocniej wzruszył mnie los niewolnicy niż bogatej modelki. Ja chciałabym w przyszłości dostać się do zespołu „Mazowsze”. A tymczasem, zgodnie z wolą tatę, będę się uczyła grać na instrumencie i języka niemieckiego, bo to zawsze może się przydać. Telewizor, z którego ogromnie się cieszę, postawię w swoim pokoju i będę go zabierała na wszystkie nasze wczasy rodzinne.

wieści gminne

RADZIŁÓW. Mimo, że 31 maja minął termin przeprowadzenia oprysków przeciw chwastom, w gminie w końcu ubiegłego tygodnia zabieg ten należało przeprowadzić jeszcze na ok. 400 hektarach zasiewów. Przyczyną zaległości jest brak środków chwastobójczych. Na dodatek powszechnie stosowany płyn „Chwastox 30” jest mało skutecznym preparatem, zwłaszcza że coraz bardziej się go rozrzedza. Np. przed trzema laty na hektar rozlewano 5 litrów preparatu, obecnie muszą wystarczyć 3.

♦ Poprawiło się zaopatrzenie w części zamienne. Tuż przed terminem żniwniej gotowości SKR otrzymał potrzebne części, w tym paski klinowe, łożyska. Prawdziwy sprawdzian czeka jednak maszyny po wyjeździe w pole. Wszystko wskazuje na to, że również w tym roku, mimo wzrostu cen, powodzeniem będą cieszyły się kombajny. W ubr. godzina kosztowała 5000 złotych, w tym — 6200. Są też usługi, które co prawda nie potaniały w stosunku do cen ubiegłorocznych, ale zostały skalkulowane poniżej kosztów ponoszonych przez SKR, np. zbiór zielenek, słomy, sadzenie ziemniaków, a także zbiór kukurydzy. Przed kilkoma laty rolnicy uprawiali ponad 45 hektarów kukurydzy, teraz zaledwie kilku. Wśród przyczyn spadku zainteresowania tą rośliną wymieniane są niekorzystające warunki klimatyczne, mimo wszystko wysoka cena zbioru i nadal niska kultura rolnicza.

WASOSZ. Hasło konkursu „Zielone złoto — bogactwem rolnika” odkrywa jego cel — racjonalne wykorzystanie pastwisk. Okazuje się jednak, że stosunkowo tanie pasze zielone wypierane są przez o wiele droższe ziemniaki. Dzieje się tak dlatego, że kuleje ich skup, więc

CIĄG DALSZY NA STR. 15

Wyrazy serdecznego współczucia

red. GABOROWI
LURINCZEMU

z powodu zgonu

OJCA

składają
współpracownicy z redakcji
„Kontaktów”

zdanie tygodnia

— Życie bywa często silniejsze od optymizmu.

(zasłyszane)

myśl z czasem

„Myślisz, że popychasz, a to ciębie pchają”.

Wolfgang Goethe





JERZY KRUSZYŃSKI, 36 lat, trójka dzieci, prezes Sądu Rejonowego w Grajewie. Działacz spółdzielczy, zamiłowany myśliwy. W partii od 1973 roku.

— Nie jestem co prawda fachowcem od rolnictwa, ale obserwuję pozytywne zmiany w tej gałęzi gospodarki. Wzrasta skup pól rolnych. Ziemia koncentrowana jest w rękach młodych rolników. Oby komuś na gorze nie przyszło do głowy wprowadzanie zmian w tym pozytywnym procesie.

Nie chcę wdawać się w dyskusję o reformie gospodarczej, domagałbym się tylko szybszego wprowadzania zasad efektywnej gospodarki. Z całej skomplikowanej machiny gospodarczej najbardziej interesuje mnie powiązanie pracy z praktyką sądowej przypominał sobie zdarzenie, kiedy jeden z zapytanych o zarobki powiedział w

MARIA TERESA PIOTROWSKA, ur. 6 października 1959 r. w Zakliczynie n. Dunajcem (woj. tarnowski), jest absolwentką Wydziału Geologii Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie oraz Studium Podyplomowym Geografii przy Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, nauczycielką geografii w Szkole Podstawowej nr 2 w Wysokiem Mazowieckiem. Mężatka, dwoje dzieci.

— Szkoła jest miejscem, gdzie kształcą się przyszły rolnik, górnik, inżynier. Brakuje nam traktorów i wielu innych maszyn, a jakże często te, które po wielkim trudzie uda się kupić, mają wady. Ten sprzęt produkują ludzie, którzy kiedyś byli dziećmi. Ciągłe na zebraniach słyszę: „powinniśmy”, „trzeba to”, „zrobimy” itd. Takie adresowanie do nikogo, do niczego nie prowadzi. Wychowanie zaczyna

pierwszej kolejności o 14 tys. złotych, które otrzymuje jako zasiłek rodzinny, i dopiero wymienił 10 tys. złotych wynagrodzenia za pracę. Nie jestem przeciwny zasiłkom, ale w takiej sytuacji wynagrodzenie nie traci walor zachęty do pracy.

Jestem prawnikiem, siłą rzeczy interesuję się funkcjonowaniem systemu prawa. Dobrze, że zostały powołane takie organy jak Trybunał Konstytucyjny i Trybunał Stanu. Szeffowie urzędów centralnych muszą się liczyć z tym, że za swoją działalność polityczną mogą być pociągnięci do odpowiedzialności. Nie sposób nie wspomnieć o całym systemie prawotwórstwa. Nie chodzi mi tu o ilość ustaw, które ostatnio uchwalili Sejm, ale o akty niższego rzędu. Zarządzenia wydawane są w sposób niekonsekwentny, opieszały. Jednocześnie zdarzają się przypadki wprowadzania przepisów, które działają wstecz. W ten sposób łamana jest jedna z kardynalnych zasad prawa. Ale nawet najdoskonalsze ustawy nie działają wiele bez sprzyjających ich stosowaniu warunków społeczno-politycznych. Cóż z przepisów o ochronie środowiska, jeśli nie starcza pieniędzy na budowę oczyszczalni. Jak realizować ustawę o patologiiach społecznych, kiedy brak społecznego potępienia dla tych zachowań. To znaczy potrafimy zdobyć się na potępienie nieznanych osób, ale sytuacja zmienia się, jeśli sprawa dotyczy kolegi z zakładu albo członka rodziny. Wtedy na rozprawie wstaje mistrz z zakładu i składa porzeczenie. Nie w każdym POP członkowie partii potrafią zdobyć się na potępienie nagannych zachowań.



ślonego godzinami lekcjami, bez próby poznawania problemów ucznia, wyjścia do niego z ciekawymi zadaniami. Braku takiej postawy nie usprawiedliwia niewłaściwe wyposażenie szkoły w sprzęt dydaktyczny, bo to przecież tylko środek pomocniczy w wychowaniu. Nie można też tłumaczyć się przeładowanym programem nauczania. Młodości nigdy się nie wróci, więc trzeba teraz dbać o jej właściwy kształt. Obowiązek wychowania obywatelskiego spoczywa na socjalistycznym przedsiębiorstwie. Właściwie pojęty proces adaptacji społeczno-zawodowej jest bodźcem do wyzwolenia aktywności, zaangażowania młodych pracowników w to, co się dzieje na wydziale, w zakładzie pracy, środowisku, do podnoszenia własnych kwalifikacji. Cały ten proces powinien być inspirowany przez zakładowe organizacje partyjne, którym przecież zależy na pozyskaniu nowych, wartościowych członków. Nigdzie nie poznaje się tak dobrze ludzi, jak przy wspólnej pracy, i tego przeświadczenia nie można młodzieży nie wpoić. Młodzi muszą być traktowani w miejscu pracy jak partnerzy, bo oni także tworzą załogę. A gdy komuś coś w życiu nie wyjdzie, posłizg, nawet ten w negatywnym sensie, nie może się za nim ciągnąć, jeżeli widać, że młody człowiek chce wrócić do społeczeństwa. Wtedy szczególnie trzeba o niego dbać, dać mu szansę. Młodość ma swoje prawa, ale trzeba umieć pokazać to życiowe doświadczenie, którym tak często szafują dorośli. Myślę, że młodzi ludzie nie obrażą się za dawanie tzw. dobrych rad, ale im także należy się nieco samodzielności.

JERZY GARDOCKI, 30 lat, rolnik, pracuje w 46-hektarowym gospodarstwie rodzinnym we wsi Grozimy (gm. Grajewo). W ub.r. w państwowym skupie sprzedał plody rolne wartości 2,5 mln złotych. W PZPR od 1930 roku.

— Podstawowy nasz problem to ucieczka młodych do miasta. Niektórzy właściciele gospodarstw mieszkają w mieście, na wieś przyjeżdżają, by posiać i zebrać. Z takich gospodarstw nie będzie mięsa ani mleka. W ten sposób dają o sobie znać zaniedbania w rolnictwie. Wiem, że przy różnych okazjach rolnicy o nich mówią, ale zmiany są zbyt wolne. Podam kilka przykładów. Na wsiach budownictwo jest planowe. Ale to zbyt mało rozdzielić deficytowy materiał między tych, którzy są na liście. Należy tak rozdzielać, aby w pierwszej kolejności otrzymywali ci, którzy gwarantują szybsze zakończenie budowy. Ale będzie to możliwe, jeśli urzędnicy będą częściej odwiedzali wsi. Zza biurka nie da się tego przeprowadzić. Deficyt materiałów nie byłby tak dotkliwy, gdyby zaopatrzeniowcy GS-u częściej odwiedzali producentów. Otrzymałem zbyt małe przydziały materiałów, z wytwórni w Sniadowie i Augustowie, ale bez lapówki otrzymałem w obu zakładach brakującą mi ilość bloczków i cegieł. Czy o te zwiększone przydziały nie mogliby postarać się wcześniej zaopatrzeniowcy?

Znane są nieustające konflikty rolników ze spółdzielniami mleczarskimi. Rozumiem, że mleczarnie chcą otrzymać mleko jak najwyższej jakości. Ale wielu rolników nadal ma przestarzałe obory, w których trudno utrzymać higienę. Na modernizację też nie każdy może sobie pozwolić, zwłaszcza przy

się od przyjsia na świat i musi być konsekwentnie realizowane. Uczeń wyjdzie ze szkoły z takimi nawykami, jakie w niego wpoimy; tymi złymi także. Bulwersuje mnie fakt, że dzieci uczymy czegoś, co same oceniają później jako bezsens. Przykład: na początku roku szkolnego dajemy im nowe podręczniki, tłumacząc, w jakim stanie muszą je przekazać młodszemu kolegowi. Tymczasem we wrześniu obowiązują nowy program nauczania. Książki do niczego już się nie przydają, albo uczeń musi korzystać z dwóch podręczników. Dzieci są bardzo dobrymi obserwatorami i nie da ukryć się przed nimi byle jak pomalowanej i krzywej ściany, rozpadających się krzesel, nie otwierającego się okna. Wyrastają w otoczeniu brakorobstwa i bylejałości. Z czym więc pójdą do pracy? Jeżeli przyzwyczajamy je do dobrych pomocy naukowych, podręcz-



TADEUSZ SZELIGOWSKI, ur. 1942 r. w Szeligach Starych k. Zambrowa, ukończył studia administracyjno-prawne. Jest członkiem partii od 1963 r., a od 1976 — I sekretarzem KG PZPR w Czyżewie i przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej.

— Fakt powierzenia mi mandatu delegata na X Zjazd PZPR uważam za wyróżnienie całej organizacji partyjnej w Czyżewie. Według instancji zwierzchnich jest ona jedną z najaktywniejszych w naszym województwie. Od roku 1976 następuje stały wzrost szeregów, a nawet w kryzysowych latach 1980—82 nie odnotowaliśmy osłabienia. Obecnie w 26 komórkach podstawowych jest 396 członków, przy czym ten



tak wysokim oprocentowaniu kredytów bankowych na cele budowlane.

Mówi się często o nakładach, jakie ponosi państwo dofinansowując rolnictwo. Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków, ale myślę, że zbyt wiele kosztuje nas eksperymentowanie w uśpołecznionych gospodarstwach rolnych. Często otrzymują tam nowe maszyny, ale szybko są one niszczone. Nie zgadzam się z twierdzeniem, że u rolników np. ciągniki nie są wykorzystywane w takim stopniu, jak w SKR-ze, mój pracuje codziennie. Powinny obowiązywać normy, dopiero wówczas maszyna może zostać sprzedana. Rolnik musi spłacać kredyt co do złotówki, w spółdzielniach produkcyjnych często są one umarzane. To tylko kilka spostrzeżeń o sytuacji w rolnictwie. Nie widzę szans na szybkie zmiany w tej gałęzi gospodarki, czeka nas długa praca.

ników, ciekawych form przyswajania wiedzy, solidarności, to będzie to procentować. Przed postępem nikt nie ucieknie. Tłumaczenie się niemożnością wpędza nas w ślepy zaułek. Nie można czekać momentu, gdy jedynym bodźcem aktywności staje się bieda. Trzeba walczyć o to, by pokazać, jak wygląda nowoczesny świat, a zainteresowanie dzieci komputerami nie spowodowało się do zafascynacji, gdy ktoś jednak przynosi do klasy komputer przywieziony przez tatusia z Zachodu. Partia jest siłą inspirującą do działania i jeżeli chcemy położyć nacisk na wychowanie, dajmy dzieciom to, co najlepsze, nowoczesne. Inwestować w wychowanie i młodzież znaczy odebrać po latach to, co najlepsze we wszystkich dziedzinach życia, najlepsze nawyki w pracy i wychowywaniu młodego pokolenia.

żywy organizm stale powiększa obszary swego działania. Gmina Czyżew ma zdecydowanie rolniczy charakter, przoduje w uprawie buraka cukrowego. Doświadczenia wyniesione z zebrań przedjazdowych i rozmów indywidualnych jednoznacznie wskazują na konieczność przyspieszenia prac i zwiększenia nakładów inwestycyjnych na meliorację gruntów rolnych. Obawy budzi stan dróg i ulic oraz niedobór środków na ich konserwację i rozbudowę. Dążymy do podniesienia standardu życia mieszkańców wsi. W lutym oddaliśmy do użytku nową przychodnię lekarską. Zawansowane są prace przy budowie Gminnego Ośrodka Kultury; zakończenie stanu surowego przewidujemy na przełomie lat 1986/87. Zamierzamy nadal rozbudować bazę socjalno-oświatową. Powołaliśmy społeczny komitet budowy przedszkola, który już gromadzi środki oraz przygotowuje dokumentację techniczną. Muszę stwierdzić, że dotychczasowe działania, mające na celu intensyfikację produkcji rolnej, uważam za niewystarczające. Bardziej należy uprzywilejować rolnictwo w przydziale środków finansowych. W województwie brakuje maszyn i urządzeń, które można nabyć w innych rejonach kraju. Niewystarczające i nierytmiczne jest zaopatrzenie w węgiel, nawozy sztuczne i środki ochrony roślin. Nie dysponujemy środkami do zwalczania śmieci buraczanej, która atakuje uprawy buraka cukrowego. Sądzę, że sprawy rozwoju wsi i rolnictwa znajdują swoje odzwierciedlenie w dyskusji i uchwałach X Zjazdu PZPR.

nasz delegat na X Zjazd PZPR



Po 50 latach pracy w zawodzie nauczycielskim, w roku 1979, skończywszy siedemdziesiątkę, postanowiłem przerwać swoją pracę zawodową, oddać mieszkanie w Warszawie swojej córce, Ewie Boguckiej, i przenieść się do swego domku w Szepletowie, z którego przez 30 lat korzystało przedszkole. Chciałem w ciszy i spokoju uprawiać drzewa, krzewy, warzywa i kwiaty i w ten sposób przetrwać ostatnie lata swego życia. Nigdy nie przychodziła mi do głowy myśl, że mogę stać się obiektem wieloletnich szykan Urzędu Gminnego w Szepletowie, który zamienia moją cichą przystań w istne piekło.

Błąd

Na początku pojawiła się kwestia mojego zameldowania.

Gdybym zameldował się w Szepletowie, musiałbym korzystać ze szpitali w Białymstoku i Wysokiem Mazowieckiem, i byłbym pozbawiony opieki swych córek, z których Ewa, na dodatek, pracuje w laboratorium szpitalnym.

Poza tym w każdym tygodniu zamierziałem przebywać 2-3 dni w Warszawie i utrzymywać kontakt z instytucjami naukowymi i wydawnictwami, wobec tego postanowiłem nie zmieniać zameldowania.

Prestroga pierwsza: węgiel

W związku ze zbliżającą się zimą (1979/80) wypełniłem „Informację nabywcy opału” i udałem się do Urzędu Gminy, aby uzyskać potwierdzenie danych. Urzędniczka stwierdziła, że węgiel mi się nie należy, ponieważ nie jestem zameldowany w Szepletowie. Zarządzenia, na którym oparto decyzję, nie otrzymałem, a urzędniczka odesłała mnie do punktu sprzedaży węgla w GS-ie Stamtąd z powrotem zostałem wysłany do Urzędu. I dopiero wtedy urzędniczka przyznała, że zarządzenie istnieje, lecz zostało wypożyczone wiceprezesowi GS-u, Henrykowi Falkowskiemu. On też stanowczo twierdził, że meldunek jest podstawowym warunkiem, aby zakupić węgiel.

Ponieważ w zarządzeniu ministra handlu wewnętrznego i usług i instrukcji centralnego zarządu gminnych spółdzielni nie znalazłem o tym ani słowa, a Urząd Wojewódzki — według informacji wspomnianej już urzędniczki — podtrzymywał jej decyzję, 28.11.1979 r. zwróciłem się bezpośrednio do ministra. Wzruszony tym pismem wojewoda łomżyński przydzielił mi w grudniu 1979 r. jedną tonę węgla. Od ministra nie otrzymałem odpowiedzi.

We wrześniu 1980 r. udałem się do sekretarza gminy, Józefa Pruszyńskiego, z prośbą o przydzielenie węgla na zimę roku 1980/81. Otrzymałem odpowiedź odmowną. Wtedy zwróciłem uwagę, że w gestii naczelnika gminy znajduje się pula na wypadki i jatkowe. Usłyszałem, że z tej puli otrzymują węgiel osoby otoczone opieką społeczną. Z czego wynika, że otrzymują one po dwa przydziały: normalny, jako mieszkańcy Szepletowa, i wyjątkowy — z puli naczelnika. Niektóre osoby, np. kolejarze, otrzymują węgiel jeszcze z innych źródeł.

Na moje pytanie, co mam zrobić w tej sytuacji, sekretarz odpowiedział, że to moja prywatna sprawa.

Wobec tego powtórnie zwróciłem się do ministra handlu wewnętrznego i usług z prośbą o takie uregulowanie rynku węglowego, abym mógł legalnie kupić węgiel.

W odpowiedzi Ministerstwo zapodało, że „nie ma podstaw do przydziału opału w miejscu czasowego pobytu. Przydział 1 tony węgla o trzymany z rezerwy wojewody w 1979 roku był jednorazowy i nie może stanowić podstawy do stałego przydziału opału”.

W kolejnym piśmie (20.10.80 r.) napisałem:

„W wyniku tej decyzji zmuszony jestem: 1) albo dać zamrozić się, 2) albo kraść węgiel, 3) albo kupować węgiel kradziony czy zdobyty na drodze machlojek, 4) albo starać się o zakup węgla za granicą. Prawdopodobnie dla władz najwygodniejsze byłoby rozwiązanie pierwsze. Ja jednak skorzystam z rozwiązania 2 i 3. Ponieważ sposoby te grożą konsekwencjami karnymi, uprzejmie proszę o podanie podstawy prawnej, na której oparta jest decyzja”.

Niestety, takiej informacji nie otrzymałem.

W tej tragicznej dla mnie sytuacji 30.12.80 r. napisałem pismo do Komisji Skarg i Zażaleń Sejmu PRL:

„I. Każda decyzja władz powinna opierać się na podstawie prawnej. Ta podstawa prawna powinna być podana w piśmie zawierającym decyzję, szczególnie jeżeli decyzja może doprowadzić do śmierci starego człowieka.

II. W wypadku decyzji odmownej powinno być podane, do kogo można się odwołać.

III. Sądzę, że w żadnym wypadku decyzja władz nie może zmuszać obywatela do popełnienia czynów karalnych (kradzież węgla, kupowanie węgla z nielegalnego źródła).

IV. W żadnym wypadku działania władz nie mogą prowadzić do śmierci obywatela, ani do zamrożenia, ani do zgłodzenia.

W tej sytuacji zwracam się do Wysockiej Komisji z propozycją uzupełnienia Konstytucji artykułem, który mówiłby, że żadna władza nie ma prawa pozbawiać

ne, a przede wszystkim gotowanie posiłków i pranie.

Dlatego proszę Radę o umożliwienie zakupu propanu-butanu i pralki automatycznej.

Nadmieniam, że staram się jeszcze żyć aktywnie. Za zgodą Ministerstwa Oświaty i Wychowania rozpoczynam przygotowania do przeprowadzenia w roku szkolnym 1985/86, i dalszych, eksperymentów w zakresie nauczania chemii w około 30 szkołach podstawowych.”

Przewodniczący WRN-u przekazał tę prośbę do wojewody łomżyńskiego.

Odpowiedzią była następująca informacja:

„Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Urzędu Wojewódzkiego w Łomży [...] podjął zbadanie za pośrednictwem UG w Szepletowie sytuacji lokalowej, rodzinnej i zdrowotnej Obywatela, stwierdzając następujący stan faktyczny.

Obywatel przebywa w budynku własnym w Szepletowie, lecz nie jest tam zameldowany ani czasowo, ani na stałe — stąd też trudno po-

tem woj. warszawskiego”) — sprawę załatwił odmownie.

Nie mogłem zrozumieć tej „miłości” Urzędu Gminnego do mnie. Początkowo sądziłem, że przyczyną jest to, że dwukrotnie, z „Dziennikiem Ustaw” w ręce, zwracałem uwagę na niewłaściwie wymierzony podatek.

Obełtnie mam wrażenie, że ktoś chce mnie zniechęcić do pobytu w Szepletowie. Od czasu do czasu pojawiają się pl tki, że sprzedaje domek. W ten sposób prawdopodobnie sprawdza się, czy już jestem gotów do rezygnacji.

Prestroga czwarta: woda

15 kwietnia 1984 roku zawiadomiłem Urząd Gminy, że w domku moim został założony wodomierz. Nikt nie przyszedł, aby sprawdzić jego stan, natomiast rachunek za I półrocze roku 1984 wręczono mi taki, jak gdybym nie miał wodomierza. Na moją prośbę urzędnik UG przyszedł do mojego domku, stwierdził, że wodomierz istnieje, zanotował jego stan i rachunek zmieniono. Sądziłem, że wszystko jest już w porządku, ale w drugim półroczu znów nikt nie przyszedł i rachunek wystawiono na podstawie mojej informacji o stanie licznika. Za pierwsze półrocze 1985 ponownie nie otrzymałem rachunku na podstawie wskazań licznika. Natomiast zostałem poinformowany, że „wodomierz zainstalowany przez Obywatela nie został zgłoszony do WZU w Łomży w celu dokonania odbioru i w związku z tym opłatę za pobór wody naliczono wg obowiązujących norm”.

W sprawie wody mam umowę z Urzędem Gminy i nie wiem, dlaczego Urząd Gminy w ciągu dwu lat nie skierował do mnie konserwatora. Cała ta sprawa chyba ma na celu pozbawienie mnie dopływu wody.

Prestroga piąta: ogród

W związku z przebijaniem ulicy Nowej do ulicy Ogrodowej 27.10.1985 roku robotnicy pod kierownictwem ob. Kruszelewskiego zniszczyli ogrodzenie pomiędzy moim ogrodem a posesją państwa Szablowskich, bez słowa wyjaśnienia, i wycieli rosące przy nim drzewa i krzewy.

W kilka dni później spychacz zasyłał rów przecinający ukośnie ulicę i na jego miejsce koparka wykopała nowy, w kształcie litery „Z”, o długości ponad 50 metrów, przebiegający przeważnie przez mój ogród. Nowy rów, niezgodny z planem zagospodarowania Szepletowa, bardzo szybko napełnił się wodą, która z niego nie odpływa, gdyż musiałaby płynąć pod górę. Gdy przyjdą większe deszcze, woda wystąpi z rowu i zaleje mój ogród i moje drzewa owocowe wyginą tak, jak wyginęły w sąsiednich ogrodach.

Przy rowie znajdują się ustępy i szamba. Fekalia z nich spływają do niego i o parę metrów od wejścia do mojego do u tworzy się cuchnące bagno.

Nowy odcinek ul. Nowej ma około 50 metrów długości i 12 — szerokości, i według planu powinien zajmować około 600 metrów kwadr. W celu jego przeprowadzenia należało wywłaszczyć około 570 m kwadr. z posesji p. Szablowskich i około 30 z mojego ogrodu. Tymczasem wycięto drzewa i krzewy i rozebrano płoty na przestrzeni około 800 metrów kwadr., z czego wywłaszczono z posesji p. Szablowskich tylko 278 m.

O faktach tych w październiku 1985 r. zawiadomiłem Urząd Gminy, a także wojewodę łomżyńskiego.

Wojewoda przysłał komisję, a w jej następstwie pismo, w którym stwierdził, że sprawę będzie można rozstrzygnąć, gdy „naczelnik gminy zleci wykonanie specjalistycznych pomiarów na gruncie odpowiednim służbom geodezyjnym i rozgraniczenie nieruchomości”.

W styczniu 1986 r. dowiedziałem się, że rozgraniczenie i oznaczenie na gruncie granic nowo wybudowanego odcinka ul. Nowej zostało zlecone.

Od zniszczenia ogrodzenia, drzew i krzewów upłynęło już ponad pół roku, tymczasem nie zrobiono nic, a kury „uprawiają” mój ogród.

ANATOLIUSZ BOGUCKI

Powyższy tekst jest nieco skróconą wersją listu nadesłanego do redakcji. Od redakcji pochodzi także tytuł i śródtytuły.

likwidacja seniora



wienia obywatela możliwość zakupu podstawowych środków utrzymania życia, a przede wszystkim opału i chleba. [...]

Na zakończenie pragnę zaznaczyć, że to nie ob. J. Pruszyński wynalazł sposób likwidacji seniorów przez ich zamrożenie. Stosowali go powszechnie Eskimosi na Grenlandii. Wystawiano seniora na mroz i już po kłopotcie, ale było to dosyć dawno.”

Prestroga druga: gaz

Brak węgla próbowałem częściowo zastąpić ropanem-butanem. Miałem dwupalnikową kuchenkę turystyczną i kilka butli turystycznych. Po gaz jeździłem do Warszawy. Było to bardzo uciążliwe, gdyż wiosną i latem trzeba było stać w kolejce nawet po kilkanaście godzin. Tymczasem do coraz większej liczby sąsiadów samochody przywoziły propan-butan w dużych butlach.

Już w roku 1979 udałem się do Zakładu Gazownictwa w Wysokiem Mazowieckiem i prosiłem o przydział gazu. W 1980 r. ponawiałem prośbę wielokrotnie. Nic z tego. Skończyło się na obietnicach.

6.04.81 r. wysłałem w tej sprawie pismo, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Tymczasem w końcu roku 1981 oślepiłem całkowicie na prawe oko i częściowo na lewe. W marcu 1982 roku zdejmowano mi zaćmę z prawego oka i przez kilka miesięcy nie mogłem nosić większych ciężarów niż 2 kg. 3 marca 1983 roku byłem operowany na lewostronną przepuklinę i znów kilka miesięcy rekonwalescencji.

W oczekiwaniu na operację drugiego oka znów błagałem o przydzielenie gazu. Odpowiedź — a jakże — negatywna. Tymczasem prawie wszyscy moi sąsiedzi już otrzymali gaz.

Po następnej operacji, w czerwcu 1984 roku, kolejna prośba. Bez skutku.

Za poradą wicedyrektora Zakładu Gazownictwa w Wysokiem Mazowieckiem, w listopadzie 1984 roku zwróciłem się do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łomży. W piśmie tym, po opisaniu historii moich starań o propan-butan, napisałem:

„Chcę żyć samodzielnie. Nie chce być ciężarem dla społeczeństwa i zajmować miejsca np. w domu dla starców, ale muszę mieć możliwość zakupu tego wszystkiego, co ułatwia zajęcia codzien-

twierdzić konieczność przydziału instalacji gazowej.

W związku z brakiem dostępu do lokalu i kontaktu osobistego (pobyt Obywatela w szpitalu w Warszawie) brak było możliwości ustalenia warunków lokalowych i potwierdzenia stanu zdrowia Obywatela. Toteż prosimy po powrocie ze szpitala o skontaktowanie się z naszym Wydziałem.”

Pojechałem do Łomży, ale tam nie pytano się ani o warunki, ani o zdrowie. Tylko powiedziano, że gazu nie dostanę. Prosiłem o decyzję na piśmie, ale jej nie otrzymałem.

Po miesięcznym oczekiwaniu, 27.02.1985 r. napisałem:

„W latach 1930-41 pracowałem w szkołach powiatu wysokomazowieckiego. Zbudowałem szkołę w Kuleszach Kościelnych. Po wojnie, do 70 roku życia, pracowałem w zakładach kształcenia nauczycieli. Wychowałem chyba kilka tysięcy nauczycieli. Z moich podręczników chemii korzystały miliony dzieci. W moim domku w Szepletowie przez 30 lat znajdowało się przedszkole. A teraz, kiedy mam 75 lat i jestem częściowo niedołężny, tu gdzie przebywam, nie mogę kupić ani węgla, ani gazu, ani pralki, ani lodówki, co przecież ułatwiłoby mi życie w ciągu tych ostatnich lat.”

Negatywną decyzję otrzymałem w marcu 1985 r. popartą takim argumentem: „Obywatel mimo wcześniej podanej informacji nie skontaktował się z naszym Wydziałem w celu wyjaśnienia okoliczności spraw niezbędnych do podjęcia decyzji”.

Prestroga trzecia: pralka automatyczna

Najbardziej uciążliwą czynnością dla starego człowieka jest ręczne pranie. Toteż prawie 4 lata „czatowałem” przed sklepem z artykułami gospodarstwa domowego, ale to nie przyniosło żadnego rezultatu.

Moje pismo do Wojewódzkiej Rady Narodowej, w którym prosiłem o sprzedaż pralki automatycznej, zostało ostatecznie skierowane do Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska” w Łomży, a stąd do GS-u w Szepletowie, który — w oparciu o wywiad społeczny przeprowadzony przez Zespół Opieki Zdrowotnej w Szepletowie („Ob. jest stałym mieszkań-



NIEDZIELA NA BIAŁO

No, nareszcie my się doczekali — mówi kobieta w kolorowej chustce, ściskając torebkę ze złotym zamkiem. — Jak się dowiedziałem, że doktorka ma przyjechać, to jeden do drugiego po wsi latał i zawiadamiał. Ja sama i do ogólnego, i do jeszcze którego pójde.

— A idźże! — śmieje się z niej sąsiadka.

— A co?! Aby ciśnienie zmierzyć, trzeba aż do Zbójnej jechać! No i po co my ten ośrodek budowali? Żeby teraz pusty stał? I mieszkańcy dla lekarza jest, tylko nikt nie chce do nas przyjść.

Rejon Wiejskiego Ośrodka Zdrowia w Kuziach liczy 1580 mieszkańców. Do najbliższego lekarza mają 12 kilometrów. Dzisiaj, w „białą niedzielę”, tłok nie mniejszy niż na jarmarku.

— My też przyjechalim, bo już chyba lepszego dnia nie będzie — mówi gospodyni ze wsi Baba, należącej do województwa ostrołęckiego. — Chyba nas przyjmą?

Doktor Maria Sławińska z łomżyńskiego szpitala długo czeka na pierwszego pacjenta. Wreszcie zjawia się 5-letni Wojtek. — Oj, co ja z nim mam — żali się matka chłopca. — Wymiotuje, jeść nie chce i ciągle płacze, że go brzuch boli.

Wojtek staje na wadze: wzrost 103 centymetry, waga — 16,5 kilograma. Okazuje się, że dziecko ma pokrzywicze zmiany klatki piersiowej. — Czy jeździła pani z nim na rehabilitację? — pyta pediatra.

— A byłam z raz — odpowiada matka. Myślałam, że to mu zostało po ojcu, bo i on taki tutaj...

W poczekalni przybywa dorosłych i dzieci. — Ja chciałam do ginekologa — młoda kobieta podaje pielęgniarce książeczkę zdrowia.

— Proszę do tamtego gabinetu, a książki dzisiaj nie trzeba.

Długa jest kolejka do internisty. — Musi mnie zmierzyć ciśnienie

— mówi stojąca najbliżej drzwi starsza kobieta. — Jak ja cierpię na to serce — dodaje.

— A żebyś ty widziała moje żyłki! — wzdycha druga.

— No i co przepisał? — rzucają się kobiety w stronę pacjentki opuszczającej gabinet. — Relanium dał? — zerkają na receptę.

W poczekalni gwar. Przez sporą grupkę przeciska się starszy mężczyzna z łaską: — Gdzie te lekarze? Może co na starość przepiszą? — śmieje się siadając pod drzwiami gabinetu.

Dyrektor Kirejczyk ma dobrą wiadomość: w III kwartale puste dziś mieszkanie zajmie internista. Póki co kuzianie zdani są na „białą niedzielę”.

W Szumowie do jedenastej doktor Barbara Cwalina, stomatolog z zambrowskiej „Bawelny”, przyjęła piętnaścioro dzieci i jedną dorosłą. Rejon ośrodka liczy ponad 5000 mieszkańców. Lekarz dojeżdża z Andrzejewa dwa razy w tygodniu. Dominuje próchnica. Wielu pacjentów na wsi czeka z leczeniem do zimy, więc dziś także nie ma tłoku.

Danuta Wdziękońska jest szkolnym stomatologiem w zambrowskiej „piątce”. Pracuje tu od 12 lat i może powiedzieć, że „sytuacja została opanowana”. Dzisiaj przyjęła dwunastu wychowanków Domu Dziecka i uczniów z liceum; dwanaście przypadków próchnicy.

Rutki. — Dzień pracy niczym nie różniący się od powszedniego — twierdzi lekarz. Do czternastej: 13 dzieci i 9 dorosłych. Rejon ośrodka to 6500 mieszkańców, a jeden stomatolog. Na drugiego czeka mieszkanie.

W Grądach Woniecku, w małej poczekalni, matka z niemowlęciem: — Byłam już u różnych lekarzy i chcę się w końcu dowiedzieć, co mu jest. Na co dzień mamy tylko felczera, więc to dobra okazja, żeby spotkać się z pediatrą.

Pani doktor, która przyjechała dziś z Zambrowa, zbadała już 10 dzieci. Młoda matka utwierdziła się w przekonaniu, że jej dziecko zdane jest na dietę bezglutenową.

Stomatolog, także dojeżdżający z Zambrowa, pacjentów ma dzisiaj niewiele, bo przychodzą do gabinetu przez cały tydzień. Najlepsze uzębienie mają uczniowie klas ósmych; najgorzej jest z „szóstkami”. Jedna z nich ma 11 zębów do leczenia, 5 do usunięcia. — Nic dziw-

nego — mówi pani doktor — skoro nasze dzieci nie mają nawyku mycia zębów. Zapytałam dziewczynkę z IV klasy, czy ma szczoteczkę do zębów. Płatała się, ale w końcu usłyszałam, że mają wspólną. Profilaktyczna, najskuteczniejsza pasta do zębów nazywa się „Elmex”. Kupić ją można, niestety, nie za złotówki. Zupełnie nie wiem, jak o tym mówić rodzicom.

Najtrudniej jednak pojmują fakt, że w Skandynawii do siódmego roku życia dzieci nie znają smaku słodczy, potem cukierki jadają rzadko, zaś po każdym posiłku myją zęby. U nas lęk przed wizytą u dentysty towarzyszy nie tylko dzieciom, a dorośli upatrują w niej jedną ze skutecznych metod wychowawczych: „Jak będziesz niegrzeczny, pójdziesz do dentysty!”

Na drzwiach Ośrodka kartka z informacją o „białej niedzieli”, która mija. Kiedy następna?

GABRIELA SZCZESNA



relacje

Niebawem miną trzy lata, odkąd przy ul. Grunwaldzkiej 6 w Zambrowie wybuchła „samochodowa sprawa”. Na jej temat narosła już pokaźna teczka dokumentów w archiwach Rejonowych Zakładów Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Józef Przeździecki, kierownik Zakładu przy ulicy Mazowieckiej, sądzi, że teczka pęcznieć będzie dalej, bowiem raz odbita pieczęć znalazła się w rękach nieustępliwych graczy.

Kilkanaście lat temu wyprowadzono z budynku przy ul. Grunwaldzkiej kotłownię, a jej miejsce zajęły dwa garaże, które przyznał ówczesnemu dyrektorowi RPGKiM-u i jednemu z jego pracowników, chociaż mieszkali zupełnie gdzie indziej.

W mieszkaniach nad garażami zapachniało benzyną. Hałas, powodowany przez wjeżdżające i wyjeżdżające samochody denerwował lokatorów, którzy podważali zasadność takiego wykorzystania pustych pomieszczeń, podczas gdy w osiedlu były pilniejsze potrzeby.

Władze spółdzielcze starały się całą sprawę ograniczyć jedynie do konfliktu osobistego. Ich zdaniem — mieszkańcom spod 6 nie chodzi o likwidację garażu, lecz jedynie o zmianę jego właścicieli. A co mówią dokumenty?

16 stycznia 1985 roku do Prokuratury Rejonowej w Zambrowie wpłynęła skarga mieszkańców: „Panowie przetrzymują w garażach benzynę i inne łatwopalne substancje. Podłoga jest drewniana, a więc zagraża pożarem. [...] Zwracamy się z prośbą do Obywatela Prokuratora o wydanie Gospodarce Komunalnej i Mieszkaniowej zalecenia o usunięciu lokatorów z garażu, a pomieszczenia te zagospodarować można będzie na użytek lokatorów, na pralnię, której nie ma i na świetlicę dla dzieci z całego bloku”.

Warto zatrzymać się dłużej nad sprawą bezpieczeństwa przeciwpożarowego garaży. Już w 1983 roku Komenda Rejonowych Straży Pożarnych w Zambrowie — na podstawie kontroli — stwierdziła: „Samochody garażowane są na podłogach drewnianych. Ponadto przechodzą tu przewody centralnego ogrzewania, wodociągowe, wentylacyjne. Nieszczelności jakie istnieją przy przewodach, powodują przedostawanie się par benzyny do

mieszkania ob. Mieczysława Trochimowicza, co w wypadku dużego stężenia par na skutek zaiskrzenia bądź postugiwania się ogniem otwartym przez lokatora może spowodować wybuch i pożar. Ponadto w myśl rozporządzenia ministra Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska z dnia 3 lipca 1980 r. § 155. 1, pkt 2, § 159. 1, § 161. 1 zabrania się używania pomieszczeń na garażowanie samochodów i innych pojazdów mechanicznych w częściach nadziemnych budynków mieszkalnych, jak również w pomieszczeniach, przez które przechodzą przewody dymo-



we, wentylacyjne, centralnego ogrzewania i wodociągowe”.

Opinię straży pożarnej z Zambrowa kończy informacja, że wydana została decyzja administracyjna zakazująca dyrektorowi Rejonowych Zakładów Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Zambrowie użytkowania powyższych pomieszczeń jako garaży; miał je opuścić do końca 1983 r.

Cytowane poprzednio pismo mieszkańców do prokuratora nosi datę o dwa lata późniejszą, zatem opinii straży nikt nie potraktował poważnie. Przecież opinii jednej komisji można zablokować opinię innej. Tak było i w tym przypadku.

W grudniu 1983 r. w garażach przy ul. Grunwaldzkiej zjawiała się inna komisja. Tym razem w jej składzie znaleźli się przedstawiciele władz miasta, inspektor ds. bu-

downictwa UMIG w Zambrowie chorąży pożarnictwa i dyrektor RZGKiM-u, do którego należy jeden z użytkowanych garaży. Komisja zaprzeczyła opinii mjr. p.o. Romana Kalisia, choć także oparła się na rozporządzeniu ministra Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska z 3.07.1980 r. w sprawie warunków technicznych budynków. Jedynie w przypadku jednego z garaży nakazano wykonanie instalacji wentylacyjnej.

Prokurator rejonowy poinformował naczelnika miasta i gminy w Zambrowie o sprzecznościach w

orzeczeniach dwóch komisji; zalecił jednocześnie wszczęcie postępowania administracyjnego w celu „przywrócenia stanu zgodnego z prawem”.

Trzy miesiące później (w lipcu 1985 r.) kolejna komisja odwiedziła garaże przy ul. Grunwaldzkiej. Jej opinia była niemalże kopią tej z grudnia 1983 r. Zaleciła jednak zlikwidowanie podkładów drewnianych i wybudowanie kanału zabezpieczającego przewody ciepłownicze do 15 sierpnia 1985 r.

Zbulwersowani mieszkańcy odwołali się do Prezydium Rady Narodowej Miasta i Gminy w Zambrowie. Przewodniczący kadry, Władysław Wasilewski, w piśmie skierowanym do dyrektora RZGKiM-u stwierdził, że stan garaży nie odpowiada przepisom, oraz zalecił zwołanie zebrania ogólnego mieszkańców budynku z udziałem przedstawicieli komitetu blokowego.

Zebranie się odbyło, jednakże nie z lokatorami najbardziej zainteresowanymi obecnością garaży, lecz ich sąsiadami z innych klatek.

I znów papier wykazał swoją cierpliwość. W październiku 1985 r. Rejonowe Zakłady Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w odpowiedzi na pismo Rady Narodowej poinformowały, że czują się pokrzywdzone określeniami „opieszałość i tendencyjność”, jakimi przewodniczący ocenił realizację postanowień prokuratora. W piśmie pojawiła się ponadto jeszcze jedna nowość: mianowicie Zakłady Rejonowe przypomniały, że pomieszczenie na garaż byłego dyrektora zostało przydzielone decyzją naczelnika miasta i gminy i tylko on może ją cofnąć. Jednocześnie w korespondencji zawarto negatywną opinię w sprawie nowego przeznaczenia spornych pomieszczeń. Zdaniem Rejonowego Zakładu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej — istniejąca w budynku pralnia w pełni realizuje potrzeby mieszkańców. Na koniec stwierdzono, że nie ma podstaw prawnych do rozwiązania umowy o najem z byłym dyrektorem RZGKiM-u.

Podczas tej trzyletniej, bezowocnej korespondencji z garażu zrezygnował jeden z najemców: teraz jest tam podręczny magazynek hydraulicznych RPGKiM-u. Mieszkańcy nadal trwają przy swojej propozycji wykorzystania pomieszczeń (pralnia lub świetlica) i nadal niepokoją wszelkie ważne instytucje mogące wpłynąć na decyzję administratorów budynków. Jak dotąd — bez rezultatu.

Mieszkańcy spod szóstki sądzą, że gdyby sprawa dotyczyła „zwykłego obywatela”, zapłaciłby on już kilkakrotnie karę za nieprzestrzeganie przepisów i straciłby garaż. Tutaj stroną jest przedsiębiorstwo, które z uporem broni praw byłego dyrektora. Dzieje się to w majestacie prawa, które jest jedno, ale jego interpretacje — dwie. W ostatnim piśmie przedsiębiorstwo „u-mywało ręce”, oddając decyzję w ręce władz miasta. Czy rozstrzygną one wreszcie tę sprawę?

KRZYSZTOF DWORNICZAK

interwencje



CO PO KRYTYCE

kłopotliwy
kanal

W nawiązaniu do treści listu ob. Lucjana Wilińskiego, dotyczącego budowy kanału sanitarnego w Kolnie („Kontakty” nr 11/86), Białostockie Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich w Białymstoku wyjaśnia.

Z treści listu wynikają dwa podstawowe zarzuty pod adresem naszego przedsiębiorstwa. Pierwszy to ten, że BPRI ponosi odpowiedzialność za zdemontowanie i zniszczenie chodników. Prawda jest, że został ułożony nowy chodnik przed rozpoczęciem robót ziemnych, ale nie układało go nasze przedsiębiorstwo. Odpowiadając na ten zarzut pozwolę sobie zacytować fragment protokołu sporządzonego w dniu 1985-10-30 w obecności naczelnika miasta i gminy w Kolnie oraz przedstawicieli firm: „PGKiM” przystąpi natychmiast do zdjęcia bruku na całej szerokości ulicy oraz chodnika po obydwu stronach. Na prawę nawierzchni ulicy dokona PGKiM w Kolnie po zakończeniu robót kanalizacyjnych”. Jak z tego wynika nasze przedsiębiorstwo nie ponosi odpowiedzialności za zniszczenie nawierzchni ulicy.

Drugi zarzut dotyczy picia alkoholu przez pracowników BPRI. Informuję, że nie stwierdzono — mimo częstych wizytacji — sytuacji przedstawionej w liście ob. Lucjana Wilińskiego. Jednocześnie nadzór techniczny budowy nie zauważył, by miały miejsce podobne wypadki.

W związku z tym można przypuszczać, że jest to bezpodstawne oszczerstwo, a z wyjaśnienia kierownika budowy kanału sanitarnego w Kolnie wynika, iż autor listu nie jest człowiekiem bezinteresownym. Prawdopodobnym powodem napisania tego listu była nieudana próba wyłudzenia od kierownika robót żwiru i cegieł potrzebnych autorowi listu do remontu mieszkania.

inż. TADEUSZ NIEDZWIECKI
dyrektor BPRI w Białymstoku

niegrzeczny
kierowca

Nawiązując do listu czytelnika („Kontakty” „Kontaktów”, „Kontakty” nr 12/86) Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Łomży informuje, że sprawa niewłaściwego zachowania się kierowcy autobusu ZKM została rozpatrzona w dniu 1986-02-04. Kierowcę ukarano naganą oraz potrącono mu sto procent premii za miesiąc luty.

Pismem z dnia drugiego kwietnia bieżącego roku przeprosiliśmy obywatela Dariusza Czechowskiego.

Przedsiębiorstwo nasze kładzie duży nacisk na kulturę zachowania się pracowników wobec naszych usługowców, a wszystkie skargi są zawsze wnikliwie analizowane. W stosunku do winnych wyciągamy surowe wnioski.

inż. ANDRZEJ SZOSTAKOWSKI
zastępca dyrektora MPKGiM
w Łomży

przeróbki

„Społem” Powszechna Spółdzielnia Spożywców w Łomży w odpowiedzi na zamieszczoną notatkę („Śpięcia”, „Kontakty” nr 20/86) pragnie poinformować, iż wszelkie zastrzeżenia i wnioski, dotyczące wykonywania usług w naszych zakładach winny być odnotowywane w książkach skarg i wniosków, które znajdują się we wszystkich naszych placówkach.

Jednocześnie nadmieniamy, że wszyscy pracownicy zatrudnieni w placówkach usługowych zostali zobowiązani do przyjmowania wszelkich przerwów; zarówno krawiec-kich, jak i dziewiarskich.

TERESA KASPERKIEWICZ
wiceprezes „Społem” PSS
w Łomży

W świadomości wielu działaczy gospodarczych panuje pogląd, że mają taką alternatywę: rozwój ekonomiczny regionu albo ochrona środowiska. Do niedawna symbolem postępu był widok dymiących kominów — przeciwstawiany wsi, prowincjonalności i zafananiu. Tradycyjna ekonomia, oparta na analizie produkcji i pracy, nie uwzględnia tego, co zostało jej dane przez naturę. Doprowadziło to do zniszczenia środowiska naturalnego w skali zagrażającej zdrowiu i życiu Europejczyków. Dary natury stały się obiektem powszechnego pożądania. Społeczna hierarchia wartości stanęła na głowie: do rachunku ekonomicznego zaczęto dopisywać biologiczne, estetyczne i naukowe wartości krajobrazu, lasów, rzek i jezior. Okazało się, że to, co podarowała przyroda, wpływa na zdrowie, aktywność i wydajność członków społeczeństwa.

Polacy stanęli przed szczególnie dramatycznym wyborem: nie znaleźli jeszcze wielu cywilizowanych wygód, a już muszą skierować ogromne środki na ratowanie ginących przyrodniczych aktywów. W europejskiej klasyfikacji najwięk-

szemu pozostał wolny od szkodliwych emisji przemysłowych. Stanowi 14,7 proc. powierzchni kraju. Wysła do atmosfery zaledwie 1,9 proc. gazów i pyłów przemysłowych. Rośnie na nim 18 proc. naszych lasów, i to tych najlepszych. Na południu dwutlenek siarki — efekt energetyki opalanej węglem — niszczy podstawowe gatunki drzew iglastych: sosnę i świerk. Gina w oczach Parki Narodowe: Karkonoski, Świętokrzyski, Ojcowski. W okolicach Torunia, Piły i Szczecinka lasy zaledwie w 45-55 proc. składają się ze zdrowych drzew; u nas — w ponad 90.

Na 752 zakłady przemysłowe groźne dla drzewostanu na północnym wschodzie pracują tylko 4. Nasze lasy rosną szybciej i częściej pozostają w stanie naturalnym: w postaci rozległych puszczy, często zbliżonych do pierwotnych: Białowiejskiej, Augustowskiej, Knyszyńskiej, Piskiej, Boreckiej i Kurpiowskiej.

Wielkie zróżnicowanie krajobrazu, unikalne w skali Europy bogactwo szaty roślinnej i świata zwierzęcego stanowią o niepowta-

polskie płuca

rzalności tych terenów. Spotykamy tu naturalne ostaje bobra (90 proc. populacji krajowej), żubra (60 proc.), wilka, rysia, wydry; prawie 250 gatunków ptaków, w tym niektóre unikalne w skali europejskiej. Wielkie jeziora (Śniardwy, Mamry, Wigry) sąsiadują z dużymi rzekami nizinnymi (Narwią, Biebrzą, Czarną Hańczą, Krutnią). Do tego region praktycznie nie otrzymuje wody z zewnątrz, a więc ich czystość zależy wyłącznie od gospodarki w jego obrębie.

W tej sytuacji cieszyć się należy, że stopień rozwoju przemysłu jest tu naprawdę niski. Całkowita wartość produkcji przemysłowej stanowi zaledwie 4 proc. produkcji krajowej. Gęstość zaludnienia wynosi 54 osoby na kilometr kwadratowy; w Polsce — 116.

Można wyliczyć jeszcze kilka argumentów przemawiających za niepowtarzalnością tych ziem, ale najważniejszym jest ilość obszarów chronionych. Mamry, Białowiejski Park Narodowy, 4 parki krajobrazowe, rezerwat biosfery — jezioro Łukajno (70 997 hektarów), rezerwat „Czerwone Bagno” (11 625). Średnia wielkość rezerwatu wynosi 304 hektary wobec średniej krajowej 110.

A to dopiero początek. Już w najbliższych latach będziemy mieli: 6 parków narodowych (dojdą Wigierski, Biebrzański, Mazurski, Suwalski, Knyszyński, a Białowiejski zostanie powiększony) o powierzchni 150 000 hektarów, 7 parków krajobrazowych (286 000), 200-210 rezerwatów (63 000). Ponad 40 proc. powierzchni chronionej w Polsce znajdzie się w naszym regionie. Ziem północno-wschodniej części kraju żądności nam cała Europa, lecz tradycyjna eksploatacja może zniszczyć to, co jest w nich najcenniejsze.

W 1983 r. — na forum Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Białymstoku — po raz pierwszy zaprezentowano koncepcję „Zielonych płuca Polski”. Uczynił to inżynier leśnik Krzysztof Wolfram, który do dziś pilotuje to przedsięwzięcie.

U źródeł idei legło przekonanie, że dotychczasowe formy ochrony przyrody przestały wystarczać. Rezerwat był dobry w drugiej połowie XIX w., park narodowy — w pierwszej połowie XX; wówczas cywilizacja przemysłowa — stwarzając tylko zagrożenie fizyczne, wystarczało więc chronione obszary odizolować. Dziś presja jest zbyt silna; zanieczyszczenia przenoszone są na bardzo duże odległości, również poza granice państwa. Nawet największe parki narodowe nie są w stanie przetrwać, jeśli nie otoczą się ich ogromnym obszarem ochronnym, a tym samym — maksymalnie przesunie granice źródeł zanieczyszczeń. Oczywiście, obszar ochronny musi charakteryzować się odmiennym modelem gospodarowania, tak aby sam nie stwarzał zagrożenia ekologicznego. Nie mogą na nim być budowane szczególnie „trucicielskie” zakłady, rolnictwo zaś może korzystać tylko ze środków naturalnych. Nie trzeba tłumaczyć, dlaczego do tych celów najbardziej pasował makroregion północno-wschodni.

W zamysśle autora — obszar o tak sprecyzowanych założeniach ma pełnić funkcje usługowe w stosunku do reszty kraju. Przede wszystkim miałby dostarczać żywność w oparciu o tzw. rolnictwo ekologiczne, produkujące wyłącznie przy pomocy nawozów i środków naturalnych. Na Zachodzie karłowate warzywa kosztują często dwakroć więcej niż dorodne, ponieważ pochodzą właśnie z tego typu gospodarstw. Produkty ekologiczne czyste mają szansę uzyskania wysokich cen w eksporcie ze względu na swoją wyjątkowość. Konsumenci zaczynają obawiać się wpływu chemii na pożywienie. Po drugie, turystyka powinna stać się prawdziwym przemysłem regionu. Terenów reklamować nie trzeba. Turystom trzeba zapewnić odpowiedni standard i pozwolić wydawać pieniądze. Wypoczynek można by połączyć z obserwacją ptaków, zwierząt i roślin w ich naturalnym środowisku, łącznie z fotografowaniem lub filmowaniem. Po trzecie: wiele polskich uzdrowisk znalazło się na obszarze zagrożenia ekologicznego. Absurdem jest leczenie dróg oddechowych na południu kraju. Z powodzeniem można to robić w Supraślu lub Augustowie. Bagna Biebrzańskie pełne są borowiny, badania wykazują bogate solanki jodowo-borowe w innych częściach regionu. Trzeba ponieść pewne wydatki (nie tak znowu duże) na budowę uzdrowisk i sanatoriów oraz popracować na ich renome; już dziś tradycje są niemale. Wreszcie, po czwarte, najbardziej oryginalnym pomysłem wydaje się tzw. bank genetyczny przyrody. Wiele unikalnych roślin i zwierząt mogłoby stanowić coś w rodzaju reproduktorów, np. żubry, bobry, orły bieliki. Na świecie wysoki cen się wartość nasiennej augustowskiej i supraskiej sosny. Być może dąłoby się zarabiać na niej tak, jak Holendrzy na sadzonkach tulipałów.

Idea „Zielonych płuca Polski” zwiastuje rychły koniec tradycyjnie pojmowanego „ochroniarstwa”, rozumianego jako obrona przyrody przed cywilizacją w imię zachowania nienaruszonych składników naturalnego środowiska. Przyszła pora na działanie szersze: racjonalne wykorzystanie zasobów środowiska przyrodniczego. Od kiedy czysta woda, czyste powietrze i atrakcyjny krajobraz zyskały w świecie wartość ekonomiczną, zachowanie tych elementów w stanie naturalnym zaczęło się opłacać. Pięciu północno-wschodnim województwom nikt nie proponuje gospodarczej stagnacji — przeciwnie: rozwój, ale rozwój nowego typu; kto wie, czy nie bardziej nowoczesny i intensywny niż tradycyjna industrializacja. Jeden z uczestników sympozjum poświęconego ochronie zasobów północno-wschodniej części kraju nazwał go nawet alternatywnym modelem cywilizacji. Lecz korzystać z niego mogą tylko uprzywilejowani. Przyjemniej tego słuchać mieszkańcom Polski „B”.

JAN ONISZCZUK



COFKA

będą kosi i łopaty; nie ma ludzi do pracy. Efekt jest taki, że urządzenia melioracyjne, których żywotność projektowana jest na 30 lat, dewastują się szybciej.

Stanisław Cukrowski: — Na zmeliorowanie czeka jeszcze w województwie łomżyńskim, wyłączając dolinę Biebrzy, 100 tysięcy hektarów użytków. Koszt meliorowania jednego hektara użytków zielonych wynosi 400 tysięcy złotych. Rolnik ponosi tylko symboliczną jego część: 20-25 tysięcy. Można powiedzieć, że nie odczuwa ciężaru tej inwestycji. Uważam, że tu leży przyczyna późniejszych kłopotów z konserwacją. Rolnicy tak rozumują: skoro państwo dało meliorację, niech się też troszczy o jej utrzymanie; udają, że nie rozumieją zasady, na jakiej działają spółki wodne. Uważają je za inwestycje państwowe zobowiązane do czyszczenia rowów, a nie organizacje, których są członkami i udziałowcami.

Zdaniem dyrektora Cukrowskiego, całkowita melioracja województwa, przy dzisiejszych nakładach państwowych (stanowczo za małych) nie zostanie zakończona w tym stuleciu. A tymczasem trzeba już rozpoczą-

dają do obiadu. Czasem przyjedzie jakaś maszyna, powarczy, poszumuje i się zepsuje. O drugiej nikogo już na budowie nie usłyszy. I tak codziennie. A woda ucieka! Tyle energii się marnuje! Energia wodna za darmo, a za prąd trzeba płacić. Syn Rybackiego powiedział, że jak młyn będzie na wodzie, przejmie go po ojcu, ale jeśli wieś się uprze i nie pozwoli jej spiętrzyć, to młyny nie ma. A wieś się uparła. Stary młynarz żyje w podwójnej zgrzyzocie.

— Czterech ich jest, co mają łaki przed młynem. Te najwięcej krzyczą i drugich buntują — idziemy brzegiem Wisły. Czas ślimaczącej się budowy wypełnia Rybackiego przekonywanie kogoś się da, że karwowski rolnicy nie ponoszą strat na łakach z powodu piętrzenia wody.

Powyżej młyna łaki przylegają do rzeki z obydwu stron. Pod koniec lat sześćdziesiątych cały ten (przeszło stuhektarowy) kompleks został zmeliorowany. W projekcie melioracji uwzględnione było piętrzenie wody dla potrzeb młyna.

— Woda z łak odprowadzana jest pod dnem rzeki i wpada do Wisły poniżej młyna — tłumaczy szczegółowo Rybacki. — Zamiast dbać o syfon i pilnować, żeby rowy nie zarosły i nie zostały zamulone, oni krzyczą, że jak wiosną nie mogą wjechać na łaki, to moja wina! Ja piętrzę tylko na pół metra i nigdy woda nie występuje z brzegów. To ich woda nie chce spływać, bo rowów prawie nie znać!

Rybacki jest przekonany, że ma rację: im dalej od rzeki w kierunku Święcienina, tym bardziej grząsko. Zresztą, rolnicy ze Święcienina, którym złość na młynarza nie odebrała rozsądku, właściwie kierują swoje pretensje: pod adresem spółki wodnej — za to, że skandalicznie zaniedbuje konserwację rowów.

grzechy dziadków

— Jak Rybackiemu znowu pozwolą na piętrzenie wody, to umarł w butach! Dozwolcie! — narzekają rolnicy z Karwowa.

— To się nigdy nie stanie! Nie pozwolimy! — mówi z determinacją Stanisław Borowski.

Łaki nad Wisłą są przekleństwem wsi. Żeby mieć z nich jakąś korzyść, kolejne pokolenia rolników z Karwowa wkładały w uprawę katorżniczą pracę.

— Przed wojną szedł chłop z kosą, dedał, dedał, a jak mu się coś z tego na plecach udało wynieść, to było dobrze — wspomina stary człowiek.

Na początku lat siedemdziesiątych wieś odżyła: w wyniku melioracji stan łak poprawił się tak bardzo, że prace na nich można było zmechanizować. Wzrosły zbiorów. Rolnicy stawiali się na hodowlę bydła. Radość nie trwała jednak długo.

— Tylko trzy, góra cztery lata było dobrze — mówi Stanisław Borowski. — Potem znowu się zaczęło.

Zdaniem rolników — główną przyczyną zaprzepaszczenia dobrodziejstw melioracji jest młyn.

— Rybacki zawsze miał mocne plecy — interpretują po swojemu fakty chłopcy. — Po wojnie przyjechał do wsi taki jeden w skórzanym płaszczu i kapeluszu; powiedział: „Dajecie zgodę na młyn czy chcecie się przejechać na niedźwiedzie?” Nasze dziadki zlekły się i podpisały. Potem ten syfon zrobili tylko po to, żeby młynarz mógł wodę piętrzyć. A teraz mu rząd nowy jaz buduje!

Syfon jest urządzeniem, przy pomocy którego woda z łak spływa dnem rzeki, a następnie — rowem — odprowadzana jest do niej, ale poniżej młyna. Sama rzeka pozostała w stanie nienaruszonym. Na tym polega, zdaniem chłopów, główny błąd tej melioracji. Należało pogłębić dno rzeki, a wtedy nie byłoby kłopotu ze spływem wód.

— Syfon znajduje się na działce Chrzanowskiego, ze trzysta metrów przed młynem. Jak Rybacki podnieśli poziom wody, idzie ona z koryta na smug Chrzanowskiego; stamtąd głównym rowem spływa do syfonu. Kanał jest mały; nasza woda, ta z łak, już tamtejsze nie pójdzie, nie zmieści się — tłumaczy mechanizm swojego nieszczęścia rolnicy.

Im dalej od rzeki w stronę Święcienina, tym gorzej. W tym roku Rybacki nie piętrzy wody, a mimo to rolnicy musieli w maju nosić worki z nawozami na plecach, bo konno ani ciągnikiem nie można było wjechać. Niektórzy usypali na swoich łakach groble z piasku. Co będzie z sianokosami?

— Powiedziałem do syna: „Chodź, weźmiemy kosy, może co upracujemy” — mówi starszy rolnik. — On na to: „Co ojciec, zgłupiałeś? Ja będę kosą robił!” I co tu począć?

Fatalny stan rowów odwadniających to jednak, według rolników, inna kwestia. Nawet gdyby były one drożne, odpływ wody z łak i tak zostałby zahamowany przy syfonie. A jeśli chodzi o rowy — rolnicy szykują się do porachunku ze spółką wodną w Radziłowie.

wie Rybackiego. Rolnicy ciągną nas jednak na zabagnione tereny na lewym, niższym brzegu, pokazując oskarżycielsko zarośnięte, zamulone rowy. Na lewym brzegu-fakt, że tej wiosny Rybacki nie piętrzy wody, nie ma żadnego znaczenia.

— Problem jest złożony — wyjaśnia Wacław Niemczura, zastępca dyrektora WZIR. — Likwidując jaz w Karwowie uzyskamy obniżenie poziomu wody w rzece o pół metra. Nie uzdrowi to jednak systemu melioracyjnego w dolinie Wisły. Aby odwodnienie było skuteczne, konieczne jest pogłębienie rzeki przy ujściu do Biebrzy oraz samej Biebrzy.

Wiosną i jesienią na Biebrzy występuje zjawisko zwane cofką: woda z głównego koryta płynie w górę swych dopływów. Cofka w Wissie sięga od jej ujścia aż po



— Od czterech lat palcem nie kiwnęli, a składki płacimy! Wszystko zarosło, zamuliło się.

— Dziś jest technika i młyny na wodzie nie muszą pracować — wraca do zasadniczej kwestii Borowski. — Jak Rybacki chce mleć na prąd, to proszę bardzo, ale na piętrzenie nie pozwolimy. Dość tej pokuty za grzechy dziadków. Ja mam 15 sztuk bydła, a mógłbym mieć 20, gdyby mi Rybacki łak nie psuł. Dziś nikt nie pójdzie z kosą na łak, bo co upracuje? Łaka powinna być taka, żeby można było ciągnikiem z maszynami na nią wjechać. A jak rząd się tak upiera przy młynie, niech od nas wszystko wykupi, zrobi staw i karpie hoduje!

Rolnicy nie przypominają sobie, żeby istniała jakaś umowa między wsią a młynarzem o darmowe mielenie. Jeśli nawet kiedyś była, już straciła swoją moc. Teraz młodzi rządzą we wsi i na gospodarstwach. Młodym bardziej opłaca się mieć dobre łaki niż taniej płacić za mielenie albo nie płacić wcale.

cofka

— W tym roku jest całkiem żnośnie; można nawet powiedzieć, że za sucho — mówi Andrzej Wojewoda z Wojewódzkiego Zakładu Inwestycji Rolniczych. Stoimy na prawym brzegu Wisły, na wysokości syfonu. Zdaniem Andrzeja Wojewody piętrzenie Wisły ma bezpośredni wpływ na stan łak. Wiosną ubiegłego roku, gdy jaz pracował, również łaki na prawym brzegu były podtopione.

Opinia ta jest poważnym argumentem przeciwko życiowej spr-

młyn w Karwowie. Powoduje to zahamowanie spływu wód z przyległych terenów.

— Z zamiarem pogłębienia Wisły od Karwowa do jej ujścia nosiliśmy się od dawna — informuje Wacław Niemczura. — Opracowana została nawet dokumentacja prac. Niestety, nie mogą one być wykonane, ponieważ ujście Wisły znalazło się w otulinie przyszłego Biebrzańskiego Parku Narodowego. Mamy zakaz prowadzenia jakichkolwiek prac melioracyjnych zarówno na terenie samego Parku, jak i w jego otulinie, dopóki nie wypowiedzą się w tej kwestii eksperci.

Planowany Park wraz z otuliną zajmie 75 000 hektarów bagnistych terenów doliny Biebrzy. Rolnicy z Karwowa jeszcze nie wiedzą, że jego bezpośrednie sąsiedztwo już wpływa niekorzystnie na ich życie. Według ich rozeznania — winni są młynarz i spółka wodna.

— Sprawa konserwacji urządzeń melioracyjnych leży w całym województwie — twierdzi Stanisław Cukrowski, dyrektor WZIR. — Najlepszy dowód na to: od roku nie możemy znaleźć człowieka na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw eksploatacji.

Andrzej Wojewoda był jednym z kandydatów: — Odmówiłem. Po co mi stanowisko, na którym nie nic można zrobić?

Bezpośrednio konserwacją rowów zajmują się spółki wodne; WZIR sprawuje nadzór.

Andrzej Wojewoda: — Nie rozumiem się tego problemu, dopóki jedynymi narzędziami do konserwacji

nać renowację wcześniej wykonanych urządzeń.

relikt

— Nie ukrywam, że zależy mi na utrzymaniu tego młyna — przyznaje się Zenon Bronowicz, zastępca dyrektora Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego. — Jest to jeden z ostatnich młynów na tym terenie.

Rybacki nie zgłosił się jednak o sobiście po uzyskanie nowego pozwolenia na piętrzenie wody (stare wygasło w 1983 r.). O zaopiniowaniu projektu budowy mostu wraz z jazem zwrócił się Rejon Dróg Publicznych z Grajewa.

— Zarządziłem rozprawę wodno-prawną z udziałem mieszkańców wsi — mówi Zenon Bronowicz. — Rolnicy z miejsca podnieśli tumult. Powiedzieli, że nie wyrażają zgody na młyn wodny. Projekt budowy mostu wraz z jazem zaopiniowałem jednak pozytywnie. Rybackiemu powiedziałem, że jeśli chce uzyskać pozwolenie, musi na własny koszt wykonać ekspertyzę: „Wpływ piętrzenia na zalewanie łak”. Rybacki napisał skargę do ministra.

* * *

— Rzucę to wszystko — desperuje Edmund Rybacki. — Do września dociągnę, a potem przejdę na emeryturę. Młyn zamknę na kłódkę. Prędko się przekonają, że jeśli źle im było z młynem, to bez młyna jeszcze gorzej, ale już będzie za późno!

MARIA KACZYŃSKA





turniej dla pogodnych



Tego jeszcze w Łomży nie oglądano! Magazynier z kierowcą nosili na rękach księgową, w jednym worku usiłovali biec główny mechanik z sekretarką naczelnego, dyrektorzy rzucali piłkę do kosza, strzelali gole i skakali w górę z radości po każdym sukcesie pracownika. A wszystko za sprawą Zarządu Wojewódzkiego IKKE, który w ramach IV Łomżyńskich Dni Sportu zorganizował turniej zakładów pracy. Do rywalizacji w 25-osobowych składach stanęły: Zakłady Płyt Wiórowych w Grajewie, Zakłady Mechaniki Precyzyjnej w Zambrowie i Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego w Łomży. Sprawiedliwym (czytaj: jurorom) przewodniczył zapasnik Andrzej Supron, dwukrotny mistrz świata, wicemistrz olimpijski. Mimo iż nie o zwycięstwo w tych zmaganiach chodziło, informuje, że najsprawniejsi okazali się zambrowianie. Gratulujemy!

Tekst i zdjęcia Gabora Lőrinczego



PRZYJEZDZAM TUTAJ już od dziesięciu lat, nie bardzo wiedząc, dlaczego to robię. Rodzinna wieś. Przyjeżdżam, bo tak trzeba, do rodziców. Bardzo starzy oboje. Wymieniamy informacje; trwa to może dwie godziny. Włażę potem na drabinę i ustawiam antenę, którą jakaś wichura przestawiła z Łodzi na Katowice. „Tak dobrze odbierał, jak ostatnio zrobiłeś, a teraz pasy jakieś latają, śnieży i nie widać” — narzeka ojciec. „Za dużo kręcisz” — zaczepiam go, bo rzeczywiście za dużo kręci. Więc poprawiam tę antenę i znowu jest dobrze. „Jak nowy” — cieszy się. Matka zagląda do pokoju i nie mówi. Ona nie ogląda telewizji, nie ma na to czasu.

Ojciec. Matka. Ciotki. Rodzinna wieś. Dla wielu koniec świata, a dla mnie — co kilka miesięcy — centrum. Stąd rozchodzą się drogi na wszystkie strony świata: do Łodzi, Katowic, Opola, Wrocławia, Krakowa albo jeszcze dalej. Na przykład — do Melbourne. Tam wyjechał kiedyś Karol Pyziak, syn piekarza-pijaczyny, jeden z najlepszych pływaków w Rudnikach. Skończył AWF w Poznaniu i pojechał przez Austrię do Australii pracować w kopalni złota.

Lepiej od niego pływał tylko jego starszy brat, Heniek. Atletę. Robił w rwącej Warszawie rzeczy, które nam, chłopaczkom, nawet się nie śniły. Potrafił płynąć pod prąd nawet z dwięście metrów. Teraz jest prokuratorem w jednym z nowych miast wojewódzkich. Ich uzdolniona muzycznie siostra zginęła tragicznie.

Wyjazdy. Powroty. Rudniki przez kilkanaście lat wypływały z siebie w stronę świata swój najdorodniejszy przychówek. Hanka Hadrys, matematyczny talent na skalę dawnego powiatu wieluńskiego, wyładowała w Łodzi na Uniwersytecie Bracia Wójcikowie budują chyba statki w Szczecinie. Ich siostra jest, zdaje się, architektem wewnątrz w Gdyni. Heniek Weisło jest prawnikiem w Katowicach.

Kiedyś — jako piętnastoletnie szczawiki — założyliśmy klub młodzieżowy w jednej z piwnic. Było nas pięćdziesięciu. W 1970 roku powstała w ten sposób pierwsza w promieniu 30 kilometrów dyskoteka. Bracia Heńka grali wówczas w drogie restauracjach Helsing i Kopenhagi, więc już wtedy miał stereo, longplaye. Z zespołem Tolka do Helsing miał jechać moja siostra, Zofia, ale mama nie chciała do tego kurestwa dopuścić. Zosia pięknie śpiewała, dobrze grała na skrzypcach, świetnie tańczyła. Teraz uczy dzieci w szkole na Śląsku Opolskim. Dzidka, druga moja siostra, dyktuje na Opolszczyźnie wiejskiej szkole.

To były mocne roczniki, roczniki młodzieżowego boomu lat sześćdziesiątych. Kazik Szyszka, którego ojciec, malarz pokojowy, jota w jota podobny był do Lenina (a nawet nosił czapkę-leninówkę i taką bródkę), został plastykiem. Wrodził się w ojca. Tyle tylko między nimi różnicy, że ma już dyplom krakowskiej akademii i nie proponuje pomalowania ścian „tak bardziej abstrakcyjnie, pod Picassa”. To on zrobił projekt plastyczny urządzenia klubu, a potem, kiedyś go w dwa miesiące wyremontowali i urządzili, sprowadził z Krakowa studentów szkoły aktorskiej z poematami śpiewanymi, recytacjami. Wszyscy pamiętają Zbyszka Benke, który przyjechał z „Konopielką” i grupą śpiewających przyjaciół. Heniek, mój kuzyn, który od pierwszych lat podstawówki konstruował radia, telefony i inne skomplikowane dla mnie rzeczy, wyładował jako inżynier-konstruktor w łódzkiej „Fonice”. Zbyszek Lerka, syn komendanta milicji, z którym mój ojciec przyłapał mnie na renklodach w ogródku kierownika szkoły, jest gdzieś w Polsce oficerem śledczym. Dzieci kierownika szkoły, zwanego przez nas „Johnny”, są na stanowiskach w Łodzi i Warszawie. Basia, córka sprzedawczyni ze sklepu z artykułami gospodarstwa domowego, jest znanym reżyserem.

Prawnicy, lekarze, artyści, dziennikarze, inżynierowie, nauczyciele, naukowcy; na nich czeka się tutaj przed Wielkanocą, Bożym Narodzeniem, na Wszystkich Świętych, w

czasie wakacji, gdy dojrzewają truskawki, czereśnie, wiśnie, jabłka. Ich wszystkich rozproszyła kiedyś wielka eksplozja, która właściwie nigdy nie przestała trwać.

DLACZEGO TU WRACAM raz, dwa razy na pół roku? Naprawię antenę? Do rodziców, bo tak trzeba? Naprawię antenę, wymieniliśmy informacje. Wszystko dobrze jest. Nie martwie się, jakoś sobie daję radę. Nie widać? Nieznaczne kiwnięcie głowami i uśmiechy potwierdzające, że widać, chociaż mogłoby być lepiej. „Zgoliłbyś brodę, mówi matka, taki stary wyglądasz”. Ojciec odrywa się od „Soboty w Dwójce”: „Ty znałeś tego Franka, co był ze mną w wojsku w Słonimiu? Dwa tygodnie temu umarł na raka. Razem byliśmy na nartach. Taki chłop!” (W podtekście: a ja, widzisz, jeszcze jakoś się trzymam). „Nie, nie znałem”, odpowiadam, bo nie chce mi się mówić z ojcem o śmierci.

Pogrzeby. W lutym, w samym epicentrum największych mrozów, przyszedł telegram od ojca: „Zmarł brat Franek pogrzeb w piątek o 12”. Wujek Franek, „niespotykane spokojny człowiek...”. Przed wojną pracował we Francji w kopalni węgla. Pozostawił po sobie placzącą ciotkę Wichcie i francuską rentę. Dwa dziesięcia kilka stopni mrozu, zawiecha, śnieg. Ludzie w kondukcie zakładali czapki. Jakies pół godziny po tym, jak po całonocnej jeździe pociągami wszedłem do domu i grzałem się przy piecu w kuchni, przyjechał wuj Stachu z Wąbrzycha z rodziną. Nie było go tutaj piętnaście lat z powodu wasni z ojcem. Dostał telegram: „Zmarł brat pogrzeb w piątek o 12”. Myślałem, że to ojciec. Kiedy ten wybiegł przed dom, oni z wieńcami mało nie upadli. „To ty żyjesz, Józku?” „No pewnie, Franek umarł”. „A myśmy myśleli, że to ty. Będziesz za to długo żył.”

Patrzmy z ojcem w telewizor. Nie mogę jakoś usiedzieć. Wszystko zostało już powiedziane, a o niepotrzebnych sprawach nie ma co mówić. „Idę” — mówię nagle i zbieram się do wyjścia. „Dokąd idziesz?” — pyta ojciec. „Aaa... tak, zobaczyć.” Rzeczywiście idę zobaczyć. Przecież właściwie po to tutaj przyjechałem: zobaczyć, co się zmieniło. Sprawdzić, na przykład, czy ceglasty kort pod Urzędem Gminnym nadal zarosnięty jest chwastami, czy też może ktoś go oczyścić.

Biorę notes i długopis, żeby przy okazji spisać autobusy na jutro, kiedy będę musiał wyjeżdżać. Idę pod górską ulicą Ogrodową koło Mirowskich. Było ich siedmioro; teraz w Krakowie dwoje, w Częstochowie, Wieluniu, pod Toruniem, Piotrkowem Trybunalskim. Czesiek, rok młodszy ode mnie, skończył seminarium w Krakowie i jest księdzem. Pisał pracę z teologii potopu. Przedyskutowaliśmy dziesiątki godzin.

Wychodzę na aleję Wojska Polskiego, czyli, jak się tu mówi, „na Rudniki”. Wies? Jak dla kogo. Dla tych z Młynów, Łaz, Słowikowa, Porąbek, Janinowa — przynajmniej miasteczko. Urząd Gminy, ośrodek zdrowia, duża szkoła (zbudował ją Gadomski), kościół, wielki cmentarz. Mały park w miejscu przedwojennego targowiska, gees, młyn państwowy i — rozgrabiony przez Niemców, nieczynny od wojny — młyn prywatny Koperów, którym po wyzwoleniu nie pozwolono go uruchomić, dom kultury, trzy przystanki autobusowe, pomnik ku czci poległych ze zdobieniami autorstwa mistrza Szyszki, bar „Rudniczanka” zakład melioracyjny, chyba ze czterdzieści ulic, które można obejść w godzinę.

Na wschód, w tzw. dziółki, prowadzi ulica Dąbrówki. Rudnicka legenda mówi, że wtedy właśnie wjechała do Rudnik księżniczka czeska, Dobrawa, udając się ze swoim orszakiem na zaślubiny do Gniezna. Do dziś mało kto nazwę tej ulicy wymawia inaczej niż „Dubrawki”. Tylko nie wiadomo, czy Rudniki już wtedy istniały. Z tablicy w kościele można się dowiedzieć, że była to kiedyś osada w dobrach królewskich, lokowana w XII wieku. Mieszkali w niej rudniki — wolni ludzie wydobywający rudę darniową. Podobno jeszcze w XVIII wieku były tu takie bory, że król Stanisław August, rezydując latem w

us-
Ich
iel-
gdy
raz,
Na-
ów,
ene,
tko
ja-
ac?
u-
lać,
go-
sta-
się
aleś
oj-
te-
my
od-
koś
m".
się
ym
ari
12".
po-
ra-
gla.
tke
va-
ie-
cie
dzi-
ez-
mu
ch-
al-
tu-
śmi
ari
lat
zed
u-
No
my
to

ry
cie-
pod
w-
wie,
ko-
rok
ni-
em.
ze-
zin.

ol-
na
Dla
wa,
niej
lek
ja
arz.
en-
n-
zez
ym
go
zy-
zi-
wa
a".
er-
jsz

ro-
le-
je-
es-
im
na.
icy
ki".
iki
oś-
yła
ró-
ku.
lni
io-
ta-
w

uniu, przyjeżdżał w te okolice
polowania. Teraz z Rudnik do
bliższego lasu jest kilka kilome-
trów.

Wszystkie sprawy z Dubrawką,
Stanisławem, wycinaniem
akowską partyzantką w La-
Parzymieskich trzeba by kie-
zabadać, tylko kiedy?

PISALEM AUTOBUSY. Zajrzę
do „Rudniczanki”, może ktoś
będzie. Są. Już przy wejściu
Roman Wierszaka. Chodził
Dyskutuje tak zawzię-
pijanym Kazikiem Nowakiem,
nawet mnie nie poznaje. Wyglą-
na to, że będą się szarpać. W
nie kilka osób. Chyba nie ma
Przy jednym ze stolików sie-
Janek Hadrys i Maniek Kapi-
Witamy się bez fanfar i wiwa-
jakbyśmy się rozstali zaledwie
— „Nie ma piwa” — pytam
— odpowiadają. „Dziadostwo
kwituje Maniek — żeby nawet
nie przywieźli.” „Dziadostwo
potwierdza Janek — ani knajpy
zadnej, ani kawiarni, ani nic.”
jak ma coś być, jeżeli naczeln-
przyjeżdża z Praszki na osiem
Wypije coś, zażre, przerznie
z powrotem. Zawsze tak
— dodaje. Zaraz też zaczy-

z klasy. Marian (jak zwykle, wy-
lewny, gadatliwy) pyta, co u mnie.
Opowiadam zdawkowo, bo i co
mam mówić. „A ty co?” — pytam.
„Nie, dalej tu jestem. Aleśmy się,
Jureczku, dawno nie widzieli. Chy-
ba, bo ja wiem...” „Dwa lata” —
uprzedzam go i tłumaczę, w jakich
okolicznościach, nie będąc pewnym,
czy mówię o zdarzeniu sprzed
dwóch, czy pięciu lat. W końcu po-
witalna wrzawa uciecha. Powiedzie-
liśmy już przecież sobie wszystko.
Palimy papierosy, popiół strząsając
na podłogę.

Przysiadam się do Stacha Judasi-
ka (właściwie nazywa się Idasiak,
ale komu by się chciało przy „I”
łamać język?). Jest starszy ode mnie
może dziesięć, może piętnaście lat.
Od dzieciństwa chodzi przygarbio-
ny od pracy w gospodarstwie, któ-
rym jako chłopiec musiał się już
poważnie zająć. Przez ten garb żad-
na dziewczyna go nie chciała. Zaws-
ze spokojny, jakiś miękki w obej-
ściu, staranny. Teraz myślę, że to
bardzo zdolny człowiek, jeden z
najlepszych brydżystów w Rudni-
kach i jeden z najlepszych szachi-
stów. Grał w szachy w drużynie
LZS-u wtedy, gdy jeszcze występo-
wała w trzeciej lidze. Od niego, w
klubie, nauczyłem się grać w bry-

porne buty, pstrokaty półgolf pod
marynarką; natychmiast przypomi-
niają mi się dziwnastowieczne por-
trety polskich chłopów.

Zespół gra zbyt głośno, jak na
moją wytrzymałość. Wychodzę przez
salę do stolika, gdzie siedzą przy
biletach Marian i Stachu. Widocz-
nie Marian coś w tym czasie wypił,
bo mówi coraz więcej. Opowiada
Stachowi przez stół o wojsku. Sto-
ję. Słucham. Pytam go, co dokład-
nie robi. „W gospodarstwie.” „Sam
ciągniesz?” „Sam, a z kim.” Gada-
jąc tak dochodzimy do wspomnień
z podstawówki. „Ty mi — mówi
Marian — rozwiązywałeś zadania z
matmy, a ja tobie za to dałem la-
tarke.” Nie pamiętam tego, ale
śmieję się i potwierdzam. Maria-
nowi nagle coś się przypomina. Za-
czyna mówić o swoim ojcu i o ze-
garku, który mu zostawił. Szwajcar
na łańcuszku. Ktoś go chciał od
niego kupić w knajpie za dwa ty-
siące, ale on nie sprzedał, bo ten
zegarek stanął w dniu śmierci ojca
o 5.15 — o tej samej godzinie, o
której zmarł w szpitalu.

Ludzie już się zaczynają schodzić.
Zygmunt, który robi za bramkarza
razem z Janickim, ledwo stoi na
nogach. Jednym uchem przysłuchu-
ję się gadce Mariana, drugim la-

spiećcia



9

KONTAKTY
1986-06-15

Aby kupić w sklepach GS-ów rol-
kę papieru toaletowego w zamian
za surowce wtórne, trzeba okazać
się dowodem osobistym, z którego
do specjalnej książeczki wpisuje się
jego numer i serię, miejsce zamiesz-
kania, a w specjalnej rubryce zło-
żyć własnoręczny podpis. Bezinwe-
stycyjny sposób na zwiększenie pro-
dukcji papieru do d...?

— ☆ —

Listonosze Urzędu Poczt w Sze-
pietowie nie dostarczają prenumera-
torom gazet, co tłumaczą przecię-
niem toreb — od rent i emerytur.
A co będzie, gdy inflacja potrwa je-
szcze z dziesięć lat?

— ☆ —

Świeżo odmalowane przejście dla
pieszych przez ul. Świerczewskiego
w Łomży (naprzeciw „Pagedu”) pro-
wadzi wprost na trawnik. Człowiek
tym różni się od innych stworzeń,
że myśli. Niestety, bezmyślność też
jest przejawem myślenia.

— ☆ —

Prawie godzinę spóźnili się woje-
wódzcy animatorzy kultury z Łom-
ży na przegląd amatorskich zespó-
łów teatralnych w Grądach Wonie-
cku. I nie dziwnego — na pytanie:
kiedy zacznie się impreza, jeden z
nich, jeszcze w Łomży, odpowie-
dział: „Jak dojedziemy, to się za-
cznie”. Animacja i arogancja mają
ze sobą, niestety, tyle wspólnego, że
zaczynają się na „a”.

— ☆ —

Gdzie kupić najtaniej meble? O-
czywiście w Łomży. Wystarczy w
Hali Targowej (totalny bałagan!)
przy placu Zeglickiego obejrzeć u-
pragnione regały, wziąć kwit, poje-
chać na ul. Wojska Polskiego (ok.
1,5 km), załadować towar i już mo-
żna wracać do domu. Aż dziw bie-
rze, ile niektórzy potrafią się napo-
cić, aby doprowadzić nas do szew-
skiej pasji.

— ☆ —

Już drugi miesiąc mleko w pro-
szku na kartki. Nasi miłośnicy o-
trzymają w czerwcu 2,5 kg tego
specjału. Cóż z tego, skoro w skle-
pach pustki, a Wydział Handlu UM
od dwóch miesięcy mówi o prze-
ściowych trudnościach. Przejściowe
— (czytaj:) takie, przez które trze-
ba przejść?



my wspominać, jak to było sie-
m, dziesięć lat temu.

W tym dzisiejszym barze czwar-
tej kategorii były kiedyś sceny my-
wskie na ścianach, było piwo,
wielkie żarcie, dla którego zatrzy-
mywali się, jadący ze Śląska lub
z Śląsk, kierownicy ciężarówek. W
chodzą wychodzimy.

Co teraz robić? „Można iść na
piwo” — żartuje Maniek. — W
miejscu. Maniek, aktywista, narze-
ża, że ta remiza, a właściwie GOK,
jest pustkami. O ósmej zamyka-
ją — zaperzam się. — Byliście
w miejscu. Weź Maniek, z dwię-
set tysięcy pożyczki, coś też prze-
żesz masz, zostań agentem, i do ro-
ty. Nie trzeba wiele.” „A bo ci
— pozwolę — wzrusza ramionami.
— Zaraz będzie dziesięć do zło-

Wchodzimy do GOK-u za parę
minut ósma. Wielka sala jest jesz-
cze pusta. Na scenie zespół ustawia
regal. Od czasu, gdy ostani raz by-
li na zabawie, wiele się zmieni-
ło. Lustrzana kula, fonobłyski, świat-
ło, stereo. W rogu sali chłopcy o-
gracają połówkę. Witamy się; naj-
bardziej z Marianem, kumplem

dza. Pozwolił mi jednej zimy, gnoj-
kowi, stać za swoimi plecami i go-
dzinami przyglądać się grze. „I co
u ciebie — pytam teraz. — Grasz
w brydża?” „Rzadko. Nie ma z kim
i gdzie.” „A tutaj?” „Tu nikt nie
przychodzi.”

ZESPÓŁ JUŻ ZACZYNA się
stroić. Nazywa się po nowe-
mu — „Zawias”, a nie np.
„Akord”. Na salę wchodzi Szczepan
Kanicki, żeby zawołać Mariana i
Stacha do biletów. On tę zabawę
organizował. Jest strażakiem. Sam
zostaje z Zygmuntem, bratem Jan-
ka Hadrysa. Jest nieźle wstawio-
ny, a z wewnętrznej kieszeni ma-
rynarki sterczy mu szyjka następ-
nej półlitrowki. Rozmawiamy. Za-
gluszają nas muzykanci z zespołu.
Zygmunt opowiada o swojej sio-
strze, matematyce, i o tym, że robił
w hucie „Małapanew”. Prowadzi
gospodarstwo. Przekrzykując orkie-
strę odgraża się, że nie odda do sku-
pu ani litra mleka, ani świnie, bo
placą marne grosze. „Litr mleka
kosztuje piętnaście złotych, a litr
piwa pięćdziesiąt kilka” — gardłuje.
Patrzę na Zygmunta, na jego czer-
woną twarz, dziwnie zaczesane,
długie włosy i czarny garnitur, to-

pię to, co gra zespół. Błyskają
światła, wiruje kula. Nikt jednak
nie tańczy, mimo że już dochodzi
dziesiąta. Siedzą przy stolikach i
piją oranżadę, którą przez okienko
sprzedaje z bufetu Szczepan. Ma
też wódeczkę, ale nie dla wszyst-
kich. I nieoficjalnie, bo nie wolno.
Zespół „Zawias” (kilku facetów po
trzydziestce w swetach z szetlandu
i džinsach) gra same rockowe hity
z lat sześćdziesiątych i początku
siedemdziesiątych, co jakiś czas
przetykane bluesem. Słyszę Clapto-
na, „Grand Funk”, „Ten Years Af-
ter”. Wtedy w džinsach z długimi
harami przychodziliśmy na dysko-
teki do klubu w piwnicy, gdzie za
pulpitem ze stereofonicznym sprzę-
tem królował dzisiejszy prawnik,
Heniek Weislo.

Robi się późno i coraz większy
tłok przy stoliku z biletami. Wy-
chodzę. Kiedy już jestem na zew-
nątrz, słyszę, jak zespół zaczął
grać „Blue Jeans Blues” Z. Z. Top.
To? Tutaj?

Idę w stronę domu i zastanawiam
się, co mógłbym dla nich wszystkich
tutaj zrobić. Nie Naprawić anteny.
Napisać reportaż. I wyjechać.

temperamenty

Muzyka hiszpańska miała poważny udział w rozwoju muzyki europejskiej średniowiecza, gdzie rozwinęła się głównie liryka rycerska. W okresie odrodzenia i baroku natomiast powstawały pieśni wielogłosowe, utwory lutniowe oraz organowe. Na elementach rodzimej muzyki oparli się w połowie XIX wieku Felipe Pedrell — inicjator narodowej szkoły, a czołowymi przedstawicielami XX wieku byli Joaquín Rodrigo, Manuel de Falla i Enrique Granados, którzy nadali jej znaczenie światowe.

Utwory tych właśnie kompozytorów wykonywała Łomżyńska Orkiestra Kameralna na koncercie 21 maja br. Solistą wieczoru był gitarzysta Ireneusz Strachocki; dyrygował Henryk Szewdo.

Koncert rozpoczęły utwory orkiestrowe — „Czarodziejska miłość” oraz „Taniec hiszpański” — Manuela de Falla. Zajmuje on najwybitniejsze miejsce wśród kompozytorów hiszpańskich ostatnich dwóch stuleci. Twórczość jego wyszła z rodzinnej muzyki ludowej (jest w niej podobieństwo do twór-

czości Ravela i Debussy'ego). Tajemnicą talentu Falla pozostaje stworzenie muzyki na wskroś oryginalnej, odrębnej i bogatej, mimo iż środki techniczne, jakimi się posługiwał, nie były nowatorskie ani odkrywcze. Jego kompozycje są piękne i porywające, a charakteryzują je szybkie tempa i skomplikowane rytmy.

Niedostatki Orkiestry — głównie pod względem stopliwości i szlachetności brzmienia — ujawniły się głównie przez złą intonację instrumentów dętych, które również nierówno wchodziły w swoje partie. Brakowało spójności i klarowności w brzmieniu zespołu. Muzyka Falla jest trudna, dlatego wymaga więcej czasu na przygotowanie — choćby poprawne.

Podczas gdy niektóre — dawniej ulubione — instrumenty przestały być atrakcją, gitara w dalszym ciągu zachowuje swój szczególny powab, a do słuchacza trafia nie przebojem, lecz łagodnym, namiętno-perswazyjnym, drażniącym delikatnie najczulsze struny naszej duszy,

tonem. Ireneusz Strachocki zagrał z towarzyszeniem Łomżyńskiej Orkiestry Kameralnej „Concierto de Aranjuez” Joaquína Rodriga. Gitarzyście nie można wiele zarzucić; brak potężnego tonu rekompensowały jego głębia i bardzo subtelne zróżnicowanie brzmienia (dynamika, barwa, artykulacja). Niedokładności w wykorzystywaniu szybkich fragmentów nie były częste i zapominało się o nich słuchając skomplikowanych gam, akordów, figur repetycyjnych i ornamentalnych. „Koncert” Rodriga zagrany był zgodnie z charakterem tego utworu. Technika u Strachockiego jest czymś drugorzędnym; jej subtelność i bogactwo wtopił on w najwyższej miary „muzyczność”, której czysto techniczne usterki nie są w stanie zakłócić.

Orkiestra towarzysząca soliście rozruszała się w drugiej części koncertu Rodriga. Dialogi instrumentów dętych, zwłaszcza drewnianych, przebiegały płynnie, narracja logicznie ukazywała słuchaczowi wydarzenia nie tylko solistyczne, ale też orkiestrowe. Na uwagę zasłu-

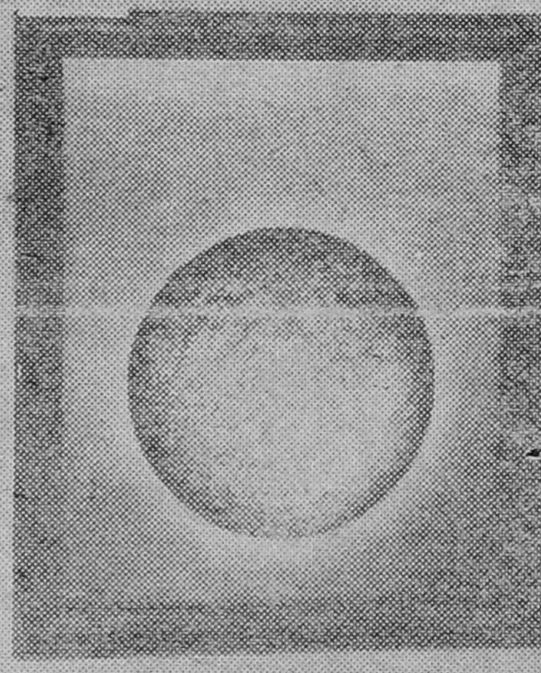
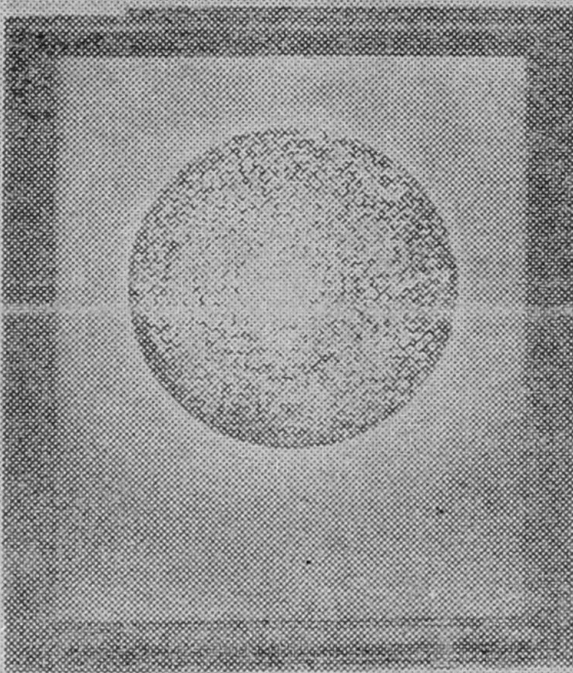
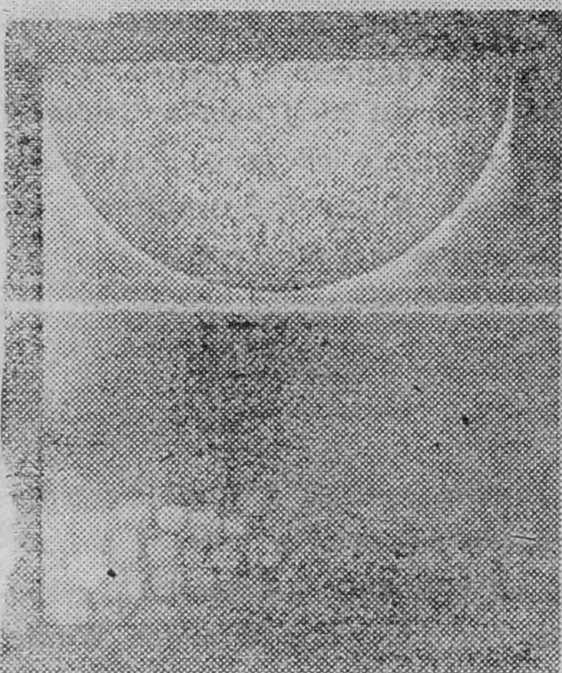
żył oboista, który przez jakiś czas prowadził temat w II części i mienił się z solistą.

Ogólnie biorąc — i solista, i orkiestra „Koncert” Rodriga wykonyli w sposób autentycznie porywający, kolorytem brzmienia i klimatem typowym dla tego kompozytora. Ireneusz Strachocki podobał się publiczności. Na bis zagrał „Sonido de campanas” João Guimarães i „Rumores de la caleta” Isaac Albenitza.

Ostatnią pozycją środowego koncertu była „Andaluzja” Enrique Granadosa, ucznia Pedrella, wybitnego twórcy narodowego stylu w muzyce hiszpańskiej. Jego utwory są podobnie jak i innych kompozytorów tego stylu — grane bardzo rzadko.

„Andaluzję” LOK wykonała z takim nieźle: czysto, przejrzyście i gładko. Była ona dobrze skonstruowana pod względem rozplanowania dynamiki. Może jedynie zabrakło tej grze południowego nerwu, temperamentu, czyli... hiszpańskości.

PAWEŁ JACKOWSKI



przerosiły

Od czterech lat, tj. od momentu przyjazdu Andrzeja Cwalyńskiego do Łomży — po studiach we Wrocławiu i krótkim pobycie w rodzinnym Lublinie — z zainteresowaniem obserwuję jego rosnącą aktywność artystyczną, zwłaszcza po osiedleniu się z rodziną w Drozdowie. Już nie tylko pojedyncze obrazy na wystawach zbiorowych czy okazjonalne próby grafiki książkowej (nie ma w Łomży przecież wydawnictwa, a i autorów też skąpo), ale coraz liczniejsze plakaty i inne użytkowe prace plastyczne potwierdzają jego obecność w życiu kulturalnym naszego skrawka Polski. Odniosł też już pierwszy sukces: w ubiegłorocznym konkursie na plastyczne dzieło roku zdobył nagrodę w dziedzinie malarstwa. W końcu maja Biuro Wystaw Artystycznych przedstawiło pierwszą indywidualną wystawę jego obrazów.

Obejrzałem ją wczesnym popołudniem przedświątecznego dnia, w samotności nie zakłóconej żadną „frekwencją” mogłem więc wśród obrazów spokojnie podumać nad tym, co mnie w nich drażni. Od pierwszego bowiem kontaktu z malarstwem Andrzeja Cwalyńskiego, a był to bodaj kolaż z użyciem zaszuszonego motyla, coś mnie niepokoiło; podobnie było z obrazami z na-

grodzanego cyklu „Wyrwa”. W pierwszym odruchu gotów byłbym przypisać to zbyt niemu wernikowaniu powierzchni obrazów, które dawało wrażenie polakierowanego oleodruku, co nie było zamiarem autora, a wiem to po rozmowie z nim, w której potwierdził mój domysł zbyt niemu dbałości o warsztat. Rzeczywiście: biegłości w tej dziedzinie nie można Andrzejowi Cwalyńskiemu odmówić, a to w naszych czasach tandety, bylejakości i pozorantstwa, panoszącego się także w sztuce, jest — a przynajmniej powinno być — zaletą. Tymczasem obraca się przeciwko jego sztuce.

Istnieje słowo — żargonowe właściwie — „przedobrzyć”. Myślę, że może mieć ono odniesienie do obrazów artysty. Za wiele tu dobrego, poczynając od kompozycji, która zasadza się na sprawdzonych regułach pionowych lub poziomych podziałów geometrycznych. Są to najczęściej trzy, różnorodnie traktowane malarsko, płaszczyzny prostokątne lub prostokąt i koło. Podział ten nie jest jedynie formalny; jego części wypełniają różne „treści” malarskie. Jest więc „podziemie”, które tworzy najczęściej dramatyzujący, abstrakcyjny, choć biotropowy, układ splecionych form. „Powierzchnia” to pasmo pejzażowe lub drzewo, traktowane w sposób nie skrywający swego realistycznego pochodzenia. Wreszcie „niebo” —

popis subtelnych tonacji barwnych i techniki malarskiej. Nieco inaczej przedstawiają się te podziały w kompozycjach „Uwaga! Leci!” i „Nie czas żałować” z cyklu „Nie wierzę w czystość nieba”, ale zasada ich działania jest taka sama.

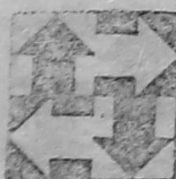
Padły tytuły. Są one ważne dla Cwalyńskiego, bowiem ich literackie treści mają sterować wyobraźnią widza w określonym kierunku, choć nie jednoznacznie, a z metaforycznym uogólnieniem. Lecz tu, kiedy

sumuje się wszystkie te warunki, nie powstaje przeżycie jednorodne, oddzielnie widzę lakier, oddzielnie barwę, która chce być najlepszą, forma nie sprzyja kompozycji, tytuł, zamiast poszerzać wyobraźnię, ogranicza ją do plakatu, realistycznej. W końcu zaczynam wątpić, czy rzeczywiście za dużo tu dobrego, malpia wyobraźnia podsuwa interpretację niektórych tytułów, której nie wypada mi przytoczyć.

Im dłużej przyglądałem się tym obrazom, tym silniejsze rodziło się we mnie przekonanie, że Andrzej Cwalyński przybiera w nich (czy przez nie) jakąś pozę, którą niepotrzebnie go krępuje i prowadzi do sztuczności jego malarstwa. Umiejętność rezygnacji z efektu milczenia, dyskrekcji należy także do warsztatu artysty. Może Andrzej Cwalyński za dużo chce od swoich obrazów? Zbyt wiele zalet może być niestrawnych, a prostota waga siły wyrazu — tak jak w „Wycieczce światła” czy „Droga I”, w których wszystko, nawet literackie wyrażone jest środkami malarskimi, czyli w taki sposób, że na pierwszy (czy też przede wszystkim) widok „co”, a nie „jak”.

ANDRZEJ JASIOŁO

prezentacja



Któryś ze Straussów poświęcił im walc „Poranne gazetki”. Wcześniej jeszcze kawiarnia stawała się jedna, uczęszczana, jeśli wiadomo, że można w niej poczytać. Za darmo oczywiście. I miejsca, przez wiele dziesiątków lat, były swoja wierna, wielopokoleniowa klientela. Współczesną ich odłączyły stały się empiki, nazywane od skrótu pełnej nazwy: Klub Międzynarodowej Prasy i Książki. „Wschodnia” idea oświecenia drukarskiego i słowem międzynarodowym, szerszej publiczności zbudowana z kilku elementów. Obok kawiarni z prasą codzienną była księgarnia i czytelnia bogata w czasopisma z całego świata, która w ostatnich dniach i godzinach spełniała też funkcję sali odczytowej. Wypełnienie stanowiła działalność wystawiennicza, związana nie tylko z książką (przeglądy nowości wydawniczych krajowych lub zagranicznych), ale obejmująca również plastykę. Bardzo szybko, w sposób naturalny, dołączyła się do tego programu nauka języków obcych. I tak powstała w Polsce masowa organizacja, której członkowie utworzyli czy też ukształtowali szeroką formację kulturalną.

Tak, choć żaden wydział żadnego uniwersytetu nie zarejestrował istnienia tej konfrontacji, ona istniała i nadal chyba egzystuje, a może nawet rozwija się. Część czytelników ze zdziwieniem wybaczy mi brak pewności i uparcie używały czas przeszły,

zaś szefów RSW pragnę zapewnić, że wiem o istnieniu stu lub stu jeden empików, lecz piszę w tygodniku ukazującym się w Łomży, a jedną z cech tego miasta, wyróżniających je od pozostałych stolic województwa, jest brak takiego klubu. Ale nie wspominałbym o tym słowem nawet, wiedząc, że grochu o ścianę nie są warte moje słowa, gdyby nie uświadomienie coraz bardziej dotkliwej, coraz szczelniejszej izolacji — także młodzieży, czyli „zaczynu” społeczeństwa — od wszelkiego słowa drukowanego. Nie tylko od książki (o czym — być może — napiszę w kolejnym liście, zachęcony 40-leciem łomżyńskiej biblioteki publicznej), ale od czasopism, od wszelkiego słowa drukowanego.

drukowane obroki

Taka jest kolejność edukacji, poznania, ukształtowania przez XIX w. i nasze stulecie — najpierw szuka się nowego, ciekawego w periodykach, aby potem niektóre dziedziny pogłębić przez lekturę czy studiowanie książek. I porządek ten jeszcze czas jakiś będzie obowiązywać, zanim okaże się, czy komputery to tylko usprawnienie sposobu korzystania z wiedzy czy też nowy rodzaj jej generowania.

Jaka jest możliwość korzystania z niego w naszym nadnarwiańskim mieście? — Kupować, abonować

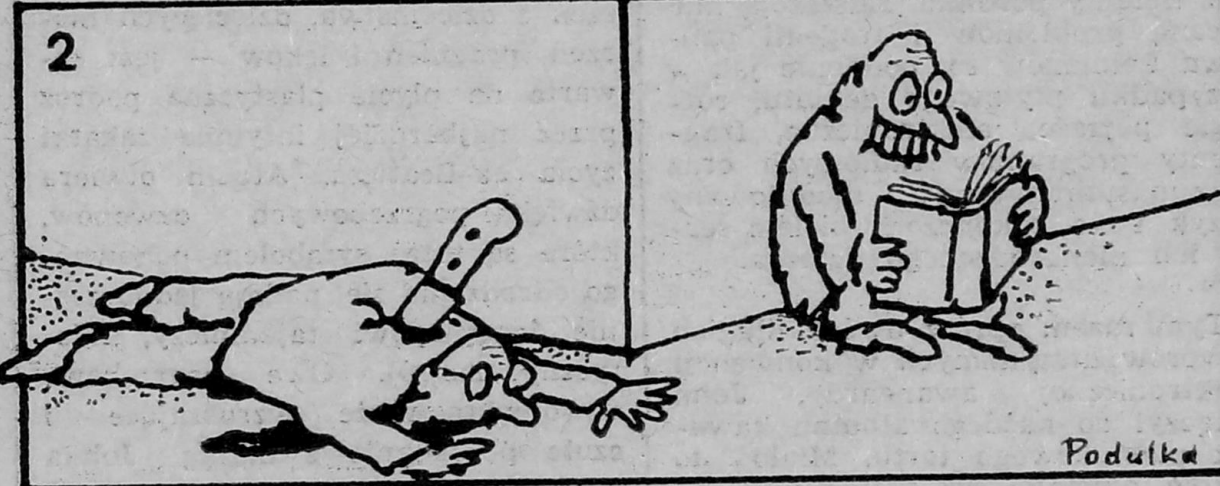
czasopisma krajowe. Świat jednak, nawet jeśli jego papkiem jest Polska, rozciąga się dookoła. I to zdecydowana większość świata. Co tam słycać, co tam widać, o czym pisać? A w każdej stronie coś się dzieje. Warto by wiedzieć, co? Ale jak, w jaki sposób? Nie myślę o wyspecjalizowanych dziedzinach wiedzy — to sprawa odrębna, zastanawiam się tylko nad tym, co nazwać można potoczną odpowiedzią na zwyczajne pytanie: co u was? czy bardziej egocentryczne: co u nich? Empiki, ze względu na dostępność podobne ulicznym straganom, to niezwykle poręczny i skuteczny sposób odpowiadania na te pytania. Potem są czytelnie bibliotek publicznych, dalej — naukowych, a w końcu specjalistyczne

w „starym” mieście. Nie liczę tu czytelnia zbiorów specjalnych, umieszczonej w prywatnym domu, w osiedlu między ul. Wojska Polskiego a Nowogrodzką.

Jeśli jednak empik „wypadł w dzium z pamięci”, to czytelnia polskich czasopism jest koniecznością. I to nie jedynie z teoretycznej troski o stworzenie możliwości itd., ale także z bardzo prozaicznego powodu, z tego mianowicie, że ludzi czytających lub chcących czytać (a większość z nich musi to robić ze względów profesjonalnych) zwyczajnie nie stać na kupowanie i prenumerowanie niezbędnego zestawu tytułów. Nie będę tu robił prostych przecięć, rachunków, ale prawda jest, że coraz więcej osób szuka możliwości lektury za darmo. Nie widzę innej drogi wyjścia, jak powołanie miejskiej czytelnia, działającej w kilku miejscach, dysponującej wszystkimi tytułami ukazującymi się w naszym kraju.

Tymczasem dowiaduję się, że planowane jest wszechwojewódzkie święto pieśni (ileż mamy tych chórów? — w Łomży jeden, ledwie z pięć), to znów o rewii folkloru czy też festiwalu sztuki amatorskiej. Dobrze, mnie to nie przeszkadza, jeśli tylko stać nas na to programowo, finansowo i będzie dla kogo pokazywać, proszę tylko łaskawie nie zapominać, że to zaledwie fragment, część korzeni, którymi trzymamy się ziemi. I pamiętać, że rodzą się nowe korzenie, wśród nich także te, które — nie karmione słowem drukowanym — skarłają albo nie wyrosną wcale.

HENRYK GAŁA



refleksje



— Gdyby nie Anna, na pewno nie byłoby nieuniknione. — był śmiechy. — Nie wyobrażasz sobie chyba, że taki szczeniak mógłby mi zabrać kobietę, gdyby mi na niej zależało!

— Wiek gra tu jednak rolę — powiedziałam poważnie. Wzruszył ramionami. Gdy wracaliśmy, zauważyłam, że był rozgniewany, myślał może o tym, że Eliza rzeczywiście była młoda i Cyryl także i że on sam, żeniąc się z kobietą w swoim wieku, przetrwał należeć do kategorii mężczyzn, którzy nie mają określonej daty urodzenia. Mimo woli odczułam coś na kształt triumfu. Lecz gdy obaczyłam nieznaczne zmarszczki wokół oczu i ust Anny, byłam dla siebie. Tak łatwo jednak było poddawać się impulsom, a potem ich żałować...

Minał tydzień. Cyryl i Eliza, nie wiedząc, jak sprawy stoją, oczekiwali mnie pewnie każdego dnia. Nie miałam odwagi iść do nich: nadalby ode mnie może jakiś nowych pomysłów, a tego nie chciałam. Zresztą po południu szłam do swojego pokoju, rzekomo, aby pracować. W rzeczywistości nie nie robiłam. Znalazłam jakąś książkę o jogach i pochłaniałam ją namiętnie i z przekonaniem. Czarni napadał mnie szaleńczy śmiech, ale tłumiałam go w obawie, że Anna nie usłyszała. Wmawiałam w nią bowiem, że pracuję bez wytchnienia. Grałam wobec niej rolę osoby zawiedzionej w miłości, która czerpie pociechę w nadziei, iż pewnego dnia stanie się wielką uczoną. Miałam wrażenie, że budziłam tym jej szacunek; czasem nawet cytowałam przy stole Kanta, co wyraźnie doprowadzało do rozczarowania ojca.

Któregoś popołudnia owinęłam się kilkoma ręcznikami, aby wytrzeć bardziej na Hinduskie, oparłam prawą nogę na lewym udzie i wpatrywałam się nieruchomo w lustro, nie dla przyjemności, tylko w nadziei, że w ten sposób osiągnę wyższy stopień doskonałości jogów. W tej chwili ktoś zapukał. Myślałam, że to pokojówka, a ponieważ jej nie było, krzyknęłam, że może wejść.

Była to Anna. Stała chwilę nieruchomo w drzwiach, uśmiechając się.

— W co się bawisz, Cecylko?

— W jogów — odpowiedziałam. — Ale to nie jest zabawa, to jest hinduska filozofia.

Podszła do stołu i wzięła do ręki moją książkę. Zaniedbałam ją. Książka była otwarta na stronie setnej, a pozostałe zabazgrane moimi uwagami w rodzaju: „Niewykonalne!”, albo: „Zbyt męczące!”

— Jesteś bardzo sumienna — powiedziała Anna. — A co się stało z tą sławną rozprawą o Pascalu, o której nam tyle opowiadałaś?

Rzeczywiście zachęcała mi się kiedyś przy stole rozrzucając jakieś zdanie Pascala, udawałam przy tym, że nad nim długo myślałam i pracowałam. Jasne, że nigdy nie napisałam słowa na ten temat. Siedziałam dalej bez ruchu. Anna przyjrzała mi się uważnie i domyśliła się wszystkiego.

— Ze nie pracujesz i udajesz przed lustrem pajaca, to twoja sprawa — powiedziała. — Ale że sprawia ci jeszcze przyjemność okłamywanie nas, to oburzające! Dziwiły mnie zresztą bardzo twoje intelektualne poczynania!

— Bo go nie ma — dodał Cyryl. — Na to zaślepienie, kompletna uległość, nie nie poradzimy.

— Owszem — zaprotestowałam. — Jest sposób. Nie macie zupełnie fantazji.

Pochlebiali mi, że czekałam z takim napięciem na to, co powiem, byli o dziesięć lat starsi ode mnie i żaden pomysł nie przyszedł im do głowy. Przybrałam obojętny wyraz twarzy.

— Tu trzeba podejść psychologicznie — powiedziałam.

Diugo mówiłam tłumaczając im mój plan. Wyszuli te same zastrzeżenia, które ja miałam dzień przedtem, i obalając je odczuwałam żywą przyjemność. Wszystko to nie miało uzasadnienia, ale chciałam ich przekonać, że z kolei podniecałam się własnymi słowami. Dowodziłam im, że jest możliwe. Teraz powinnam była tylko wyłożyć, że nie trzeba tego robić, ale na to nie znalazłam równie logicznych argumentów.

— Nie podobają mi się te kombinacje — powiedział Cyryl. — Ale jeżeli to jest jedyny sposób, żebyśmy się mogli pobrać, to się zgadzam.

— To właściwie nie jest wina Anny — wtrąciłam.

— Wiesz bardzo dobrze, że jeśli ona z wami zostanie, wyjdziecie z nią z tego, kogo ona ci wybierze — powiedziała Eliza.

Była to może i prawda. Wyobrażałam już sobie ten dzień, gdy skończę dwadzieścia lat: Annę przedstawiającą mi młodego człowieka, który będzie miał dyplom, świetną przyszłość przed sobą, będzie inteligentny, zrównoważony i na pewno wierny. Trochę taki jak Cyryl, zresztą. Zaczęłam się śmiać.

— Nie śmieć się, proszę cię — powiedział Cyryl. — Obiecuję ci, że będziesz zazdrosna, kiedy będę udawał, że kocham Elizę. Jak mogłaś wymyślić coś podobnego! Czy ty mnie w ogóle kochasz?

Mówił to słumionym głosem. Eliza oddaliła się dyskretnie. Patrzyłam w jego smagłą, pełną napięcia twarz, w jego ciemne oczy. Cyryl mnie kochał, to było dziwne uczucie. Wpatrywałam się w jego wargi nabrzmiałe krwią, tak bliskie moich. Nie czułam się już intelektualistką. Pochylił głowę i wargi nasze odnalazły się w pocałunku. Siedziałam z otwartymi oczami, jego usta, gorące i ciężkie, spoczywały na moich drząc lekko. Przycisnął je mocniej, aby opa nować to drżenie, i rozchylił. Pocałunek jego nabrał życia, stał się władczy, wprawny, zbyt wprawny... Zrozumiałam, że mam o wiele więcej zdolności do tego, żeby całować się z chłopcem w słońcu, niż żeby zrobić dyplom. Odsunęłam się trochę od niego, zdyszana.

— Cecylko, musimy się pobrać. Zagram tę komedię z Elizą.

Zadawałam sobie pytanie, czy moje kalkulacje są słuszne. Byłam duszą, reżyserem tej komedii. Każdej chwili mogła ją przecież przerwać.

— Masz jednak dziwne pomysły — dodał Cyryl ze swoim charakterystycznym uśmiechem. Unosił wtedy górną wargę, co nadawało mu wygląd bandyty, bardzo przystojnego bandyty...

— Pocałuj mnie — szepnęłam — pocałuj mnie prędko!

Tak oto pusiłam w ruch tę komedię. Wbrew woli, z ciekawości, z lenistwa. Chwilami wołałabym, by motorem jej była złość i nienawiść. Żebym mogła przynajmniej winić siebie, a nie moje lenistwo, słońce, pocałunki Cyryla.



Kiedy 29 listopada 1968 roku pojawił się na rynku pierwszy solowy album małżeństwa Lennonów, zatytułowany „Unfinished Music No. 1 — Two Virgins”, ukazujący na obu stronach okładki rozebranych do naga Johna i Yoko — natychmiast ukazały się w prasie recenzje, które określały ten krążek jako bezład nieartykułowanych dźwięków, kicz, który powstać mógł tylko w tym duecie. Lennon, wielokrotnie napadany przez dziennikarzy za swoje dziwaczne poglądy i przekonania, tym razem nazwany został facetem, którego rozum wyszedł chwilowo na lunch. Yoko natomiast była dla dziennikarzy nikiem innym, jak tylko zwariowaną Japonką, starającą się za wszelką cenę usidlić słynnego muzyka i zdobyć popularność. Wbrew owym artykułom, to właśnie Ono — piosenkarka ciesząca się dużym uznaniem w kręgach muzyków awangardowych — była w tym czasie nie tylko artystycznym i duchowym przywódcą Lennona, ale także główną pomysłodawczynią i wykonawczynią tej płyty.

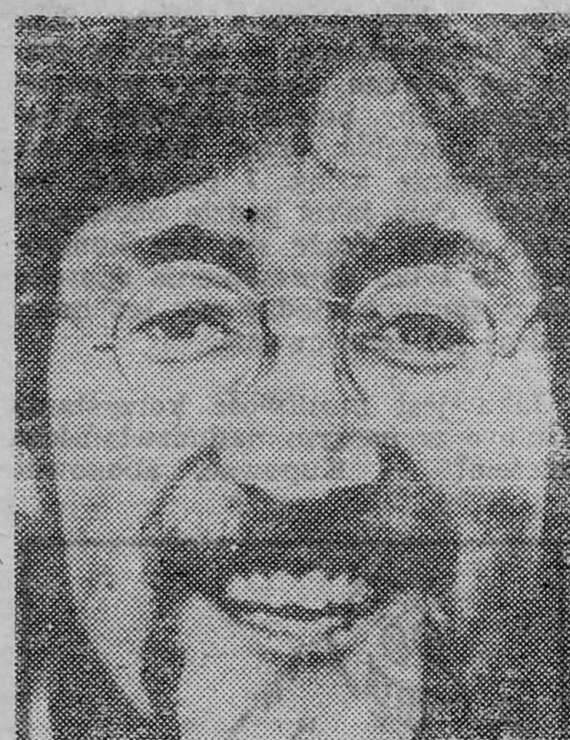
Odpowiedzią na te prasowe poniżenia stała się druga część „Unfinished Music” — zatytułowana „Life With The Lions” — ponownie ukazująca na okładce scenę z prywatnego życia małżeństwa: Johna kłęczącego przy łóżku Yoko w pokoju szpitalnym, w którym Ono po raz kolejny poroniła. Ilustracją muzyczną problemów i tragedii państwa Lennonów są, podobnie jak w przypadku płytowego debiutu, rozległe pejzaże elektroniczne, fragmenty programów radiowych oraz kilkunastominutowy, modulowany krzyk Yoko, zakończony biciem serca ich nienarodzonego dziecka.

Tym razem oprócz dwóch długich utworów utrzymanych w konwencji elektronicznej awangardy, John dołączył do każdego albumu kawałek plastikowego tortu. Miało to pełnić dwójaką rolę: stanowić do-

wód niedawno zawartego jego ślubu z Yoko oraz być dla każdego nabywcy płyty zaproszeniem, a wręcz symbolem udziału w przyjęciu weselnym. Równocześnie z produkcją „Wedding Album” państwo Lennonowie rozpoczynają swoje sławne i długie miodowe miesiące, czyli wylegiwanie się w łóżku, określone przez małżonków jako dedykacja miłości i pokojowi na świecie. W tym też czasie, kiedy ich luksusowy apartament odwiedzały chmary sławnych gości, Lennon postanowił zarejestrować na taśmie piosenkę „Give Peace A Chance”, do wykonania której zaprosił m.in. Erica Claptona i Klaus Voormana. W ten sposób powstał legendarny już dziś „Plastic Ono Band”. Zespół ów pozwolił Lennonowi powrócić na scenę po kilkuletniej przerwie. Dla artysty było to ogromne przeżycie. Przed występem nerwy odmówiły mu posłuszeństwa i, mimo że sam koncert nie należał do najlepszych, to „Plastic Ono Band” zrobił furorę. Po pewnym czasie Lennon zdecydował się na zrobienie nowych wersji swoich starych, beatlesowskich piosenek. Tak było m.in. z „Zimnym indykiem”, gdzie do nagrania studyjnego zaprosił m.in. Ringo Starę. Potem przyszły następne płyty. Podczas pracy nad albumem „John Lennon — Plastic Ono Band” John wiele czasu spędzał ze swym nowym guru, przyjacielem, terapeutą, doktorem Arturem Janowem. Rezultatem rozmów, które John prowadził z Janowem — polegających na ponownym odkrywaniu doświadczeń z dzieciństwa, dziecięcych marzeń, pragnień i lęków — jest zawarta na płycie plastyczna podróż przez najbardziej intymne zakątki życia ex-Beatlesa. Album otwiera dźwięk pogrzebowych dzwonów, które są tutaj symbolem ponownego odrodzenia się, nadają jednocześnie longplayowi tajemniczy, mistyczny nastrój. Owe pogrzebowe dzwony to także wzruszające i czule pożegnanie z matką Johna — Julią. Zdaniem krytyków płyta

John i Yoko

ta jest spowiedzią Johna z całego dotychczasowego życia. Sam autor określany jest jako „Sierżant Lennon”, kończący swój sen lat sześćdziesiątych i wszystko to, co lata te znaczyły dla Johna i jego twórczości. Co prawda, echa tego okresu jeszcze wielokrotnie znajdują swoje odbicie w twórczości muzyka, wtedy jednak subtelność kompozycji ostatniego okresu działalności zastąpiły publiczne porachunki z Pauliem McCartneyem.



W tym czasie sprawy związane z działalnością zespołu „Plastic Ono Band” miały się coraz gorzej. Raz po raz pierwsze strony gazet obiegały relacje ze skandalizujących koncertów małżeństwa Lennonów. Oczywiście główną bohaterką tych artykułów była Yoko Ono. Jej koncertowe pomysły stawiały się coraz

bardziej zwariowane i nie mieściły się w pojęciu przeciętnego odbiorcy. Pewnego razu, zamiast nielicznych transparentów, na których zwykle wypisane były hasła nawiązujące do pokoju, na estradzie pojawiła się Yoko z damskimi kamkami, zachęcając (bez rezultatu zresztą) zebrane na widowni publiczność do ich publicznego przyrzeczenia. Odbiciem atmosfery koncertów jest kolejny album „Sometimes In New York City”, wierzący na jednej płycie nagrania z koncertów. Bardziej udaną jest kolejna płyta „Mind Games”, która powstała w okresie powojnych rodzinnych nieporozumień. Tuż po wydaniu krążka John puszcza Yoko i coraz częściej pojawia się w towarzystwie swojej sekretarki. Później wyjeżdża do Kalifornii na — jak to określił złośliwiec — 6-miesięczną sesję ostrego picia. I tym razem ponownie trafia na pierwsze strony gazet jako bohater wielu skandali, z których najbardziej znany miał miejsce w nocnym klubie „Ciro”, gdzie mocno wstawionego Lennona bratkarze wyrzucili po prostu za drzwi. Na szczęście ten niezbyt chlubny epizod w życiu Lennona dość szybko przechodzi do historii. Powstały nowe piosenki i nowe płyty. W tym też czasie John wraca do małżeństwa i razem zamieszkują na farmie, gdzie prowadzą niemal pustelniczy tryb życia. Hodują krowy, owce, kury, pieką chleb, nie czytają gazet, nie oglądają telewizji i nikogo nie przyjmują. Ten blisko 5-letni okres izolacji podyktowany był chęcią pragnieniem wyzwolenia się z jarmu popularności. Wszystko jednak skończyło się z chwilą poznania młodego producenta i wydawcy Davida Geffena. John, będąc pod jego wrażeniem, zdecydował się na tymczasie nagrać dla jego wytwórni jeszcze jeden album — „Double Fantasy”, którego realizacja przyniosła jakże tragiczny i przerabiający finał.

„Wyobraź sobie, że nie ma granic państw / nie jest to trudne do zrobienia / że nie ma za co zabić / nie ma za co umierać.” („Imagine”)

Repr. ANDRZEJ SOKÓŁSKI

Po godzinie, dość znudzona, rozstałam się z aktorami mojej konspiracyjnej komedii. Pozostał jeszcze cały szereg argumentów, którymi mogłam się pocieszać: mój plan mógł być zły, namietność ojca do Anny mogła się okazać tak silna, że pozostanie jej wierny. Poza tym ani Cyryl, ani Eliza nie mogli nie zrobić beze mnie. Zawsze znajdę jakiś powód, aby przerwać grę, jeżeli będzie mi się wydawało, że ojciec dał się na nią złapać. To było jednak zabawne spróbować, sprawdzić, czy moje psychologiczne teorie były słuszne, czy nie.

A przede wszystkim Cyryl mnie kochał, Cyryl chciał się ze mną ożenić. Ta myśl wystarczała, by uczynić mnie w pełni szczęśliwą. Jeśli zechce czekać na mnie rok czy dwa, aż będę całkiem dorosła, to zgodzę się. Widziałam już siebie jako żonę Cyryla, śpiącą u jego boku, nie rozstającą się z nim nigdy. W każdą niedzielę będziemy chodzili na obiad z Anną i ojcem, szczęśliwą parą, a może nawet z matką Cyryla, co przyczyni się do stworzenia miłej atmosfery w czasie posiłku.

Annę spotkałam na tarasie, gdy schodziła na plażę, do ojca. Przywitała mnie ironiczną miną, jaką wita się ludzi, którzy poprzedniego dnia za dużo wypili. Spytałam ją, co mi chciała powiedzieć wieczorem, nim zasnęłam, ale śmiejąc się odmówiła odpowiedzi pod pretekstem, że to by mi nie doległo.

Ojciec wyszedł z wody, barczysty i muskularny. Wydawał mi się wspaniały. Z kolei my z Anną poszliśmy się kąpać. Anna pływała ostrożnie, z głową nad wodą, by nie zamoczyć włosów. Potem wszyscy troje wyciągnęliśmy się na piasku, jedno obok drugiego, ja pośrodku. Leżeliśmy spokojnie, milcząc.

Wtedy to pojawiła się w drugim końcu zatoczki łódka pod pełnymi żaglami. Pierwszy dojrzał ją ojciec.

— Biedny Cyryl nie mógł już wytrzymać — powiedział śmiejąc się. — Anno, przebaczymy mu? To w gruncie rzeczy miły chłopak. Podniosłam głowę, czując niebezpieczeństwo.

— Co on robi? — zdziwił się ojciec. — Omija zatoczkę. Ależ... ależ on nie jest sam!

Z kolei Anna podniosła głowę. Żagłówka nadpłynęła właśnie i mijala nas. Rozpoznałam twarz Cyryla i błagałam go w duchu, aby się oddalił.

— Przecież... przecież to Eliza! Co ona tu robi?! — krzyknął ojciec.

Drgnął na te słowa, choć od paru minut ich oczekiwałam.

— Ta dziewczyna jest nieprawdopodobna! — powiedział ojciec do Anny. — Udało jej się widocznie zarzucić sieci na tego biednego chłopca i wkraść się w łaski starszej pani.

Ale Anna nie słuchała go. Patrzyła na mnie. Napotkałam jej spojrzenie i pełna wstępu opuszczałam głowę na piasek. Położyła mi rękę na karku.

— Popatrz na mnie, Cecylko. Czy masz do mnie żal?

Otworzyłam oczy: Pochyliła się nade mną, we wzroku jej był niepokój, niemal błaganie. Po raz pierwszy patrzyła na mnie tak, jak się patrzy na czującą i myślącą istotę. I to właśnie w dniu, w którym... Jęknęłam i odwróciłam gwałtownie głowę w stronę ojca, aby uwolnić się od jej ręki. Ale on wciąż patrzył na łódkę.

— Biedna maleńka! — usłyszałam głos Anny, cichy, łagodny. Biedna, mała Cecylko, to trochę moja wina, nie powinnam była być taka nieustępliwa. Nie chciałam jej zrobić przykrości, wierzyłam, że chyba?

Gładziła mnie czule po głowie, po karku. Nie poruszyłam się. Miałam takie wrażenie, jakie ma człowiek, gdy uniesiony fałszywym piaskiem usuwa się mu spod nóg. Tak bardzo marzyłam o całkowitej porażce, o czułości Anny... Nigdy dotąd żadne uczucie, ani gniew, ani pragnienie, nie ovladnęło mną tak silnie. Jakże chciałam przeżyć tę komedię, powierzyć Annie mój los, oddać się w jej ręce do końca życia... Nigdy jeszcze nie doznałam tak przemożnego, gwałtownego uczucia słabości... Zamknęłam oczy. Wydawało mi się, że serce moje zamiera.

4

Ojciec był po prostu tylko zdziwiony. Pokojówka wyjaśniła mi, że Eliza przyjechała po walizki i zaraz odjechała. Nie wiem, dlaczego nie powiedziała mi nic o naszej rozmowie. Była to kobieta z takimi okolicznościami, która zapewne miała dość romantyczne wyobrażenie o naszym życiu. Zwłaszcza że to ona przeniosła rzeczy, gdy zamienialiśmy się pokojami.

Ojciec i Anna, dręczeni wyrzutami sumienia, byli dla mnie do brzy i troskliwi, co z początku wydawało się nie do zniesienia, ale niebawem zaczęło mi sprawiać przyjemność. Wcale natomiast nie było przyjemnie natykać się bez przerwy na Cyryla i Elizę, przytulonych do siebie i wyglądających na zakochaną parę, chociaż ja sama byłam inicjatorką tego wszystkiego. Nie mogłam już pływać żagłówką, ale za to widziałam, jak pływała nią Eliza, z tak samymi rozważaniami przez wiatr włosami jak, niegdyś moje. Gdyśmy się spotykali, bez trudu przybierałam minę zamkniętej w sobie i pozostawionej obojętnej. A spotykaliśmy ich wszędzie: w łasku, we wsi, na drodze. Anna zerknęła na mnie i chcąc mnie pocieszyć, powiedziała, że na ramieniu i mówiła o czymkolwiek. Czy wspominałam, że Anna była dobra? Nie wiem, czy jej dobroć była subtelną formą inteligencji, czy raczej obojętności, ale znajdowała zawsze właściwe słowo, właściwy gest i gdybym rzeczywiście cierpiała, nie znalazłabym w nikim lepszej podpory.

Poddawałam się więc biernie losowi, nie niepokojąc się zbyt, gdyż jak już powiedziałam, ojciec nie okazywał cienia zazdrości. Było to dla mnie dowodem przywiązania do Anny i drażniło mnie trochę, bo wykazywało bezskuteczność moich planów. Pewnego dnia, gdy wchodziłam z nim na pocztę, minęła nas Eliza. Udałam, że nas nie widzi, a ojciec obejrzał się za nią jak za nieznaną gwizdnął cicho przez zęby: — Popatrz, jak ta Eliza piekielnie wyglądała!

— Miłość jej służy — odpowiedziałam.

Rzucił mi zdziwione spojrzenie.

— Nie wydajesz się zbyt mądrą...

— No cóż — odparłam — są w tym samym wieku, to było nieuniknione.

album
k City"
cie nagi
iej ud

Gdy człowiek płacze z emocji, je-
tzy mają inny skład chemiczny
wówczas, gdy napędza mu je do

oczu siekana cebula. Naukowiec William Frey wnioskuje na podstawie swoich badań, że w czasie picia organizm uwalnia się od substancji, które, w skutek stresu, zakłóciłyby przemianę materii. Badania nad stresem pozwalają wysunąć podobne wnioski. Na wrzody żołądka lub zapalenie jelita grubego cierpią zazwyczaj ludzie, którzy nie tylko płakali w życiu mniej niż zdrowi, lecz uważali łyżę za oznakę słabości i braku opanowania. Wzorec twardego mężczyzny okazał się w rzeczywistości typem najbardziej podatnym na zawały serca.

olejy baranie
W
pikantnym
sosie

50 g masła, posolić, po
posiekaną pie-
Kotlety umyć i zbić tłuczkiem,
im owalny kształt. Maczać w
bulce. Ułożyć na blasze wysma-
olejem, wstawić do piekarnika
przez 20 min.

Wielmożny przyrządzać sos: stopić resztę
oleju, zmieszać w nim drobno pokro-
joną cebulę, podprawić młaką i roz-
wodzić rosółem. Dodać do sosu ży-
wny, ketchup oraz ocet i gotować
do zagęszczenia. Wyjąć kotlety z
marnika, włożyć na półmisek i polać
sosem. Podawać z zielonym groszkiem
lub fasolką i ziemniakami.

a rzecze Ob, kilka kilometrów od miejsca, w którym wpada do jeziora Irtysz, rozpoczynał się będniejszy na świecie kanał. Po-
mą nim syberyjskie wody ku u-
dzanym gruntem basenu Morza

Ogromnego szczupaka - złowił na wędkę sędziwy (74 lata) Węgier, Józef Rozsa z Szegedu. Ryba ważyła równo 70 kilogramów. Udało się ją podzielić na 300 porcji.

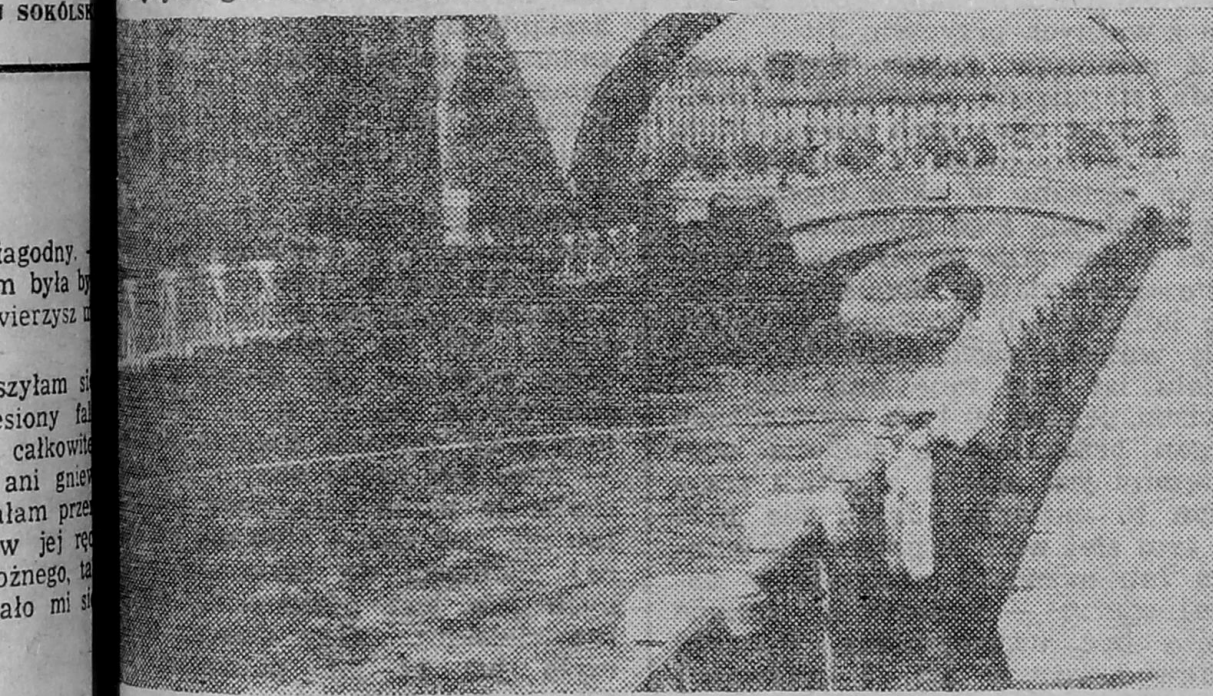
Kobiety powinny zwracać uwagę na kolor skarpetek mężczyzn ubiegających się o ich rękę — twierdzi pewien angielski psycholog, z jego długotrwałych badań bowiem wynika, że czym barwniejsze skarpetki, tym ich właściciel ma większy temperament. Psycholog przestrzega kobiety przed mężczyznami noszącymi różowe: ponoć w pożyciu są bardzo wstrzemięźliwi.

Tomas Izquierdo z San Antonio de Los Baños na Kubie nie może zasnąć od 40 prawie lat. Lekarze nie znaleźli dotąd przyczyny tej — tak długiej — bezsenności. Kubańczykowi przestało chcieć się spać w 13 roku życia.

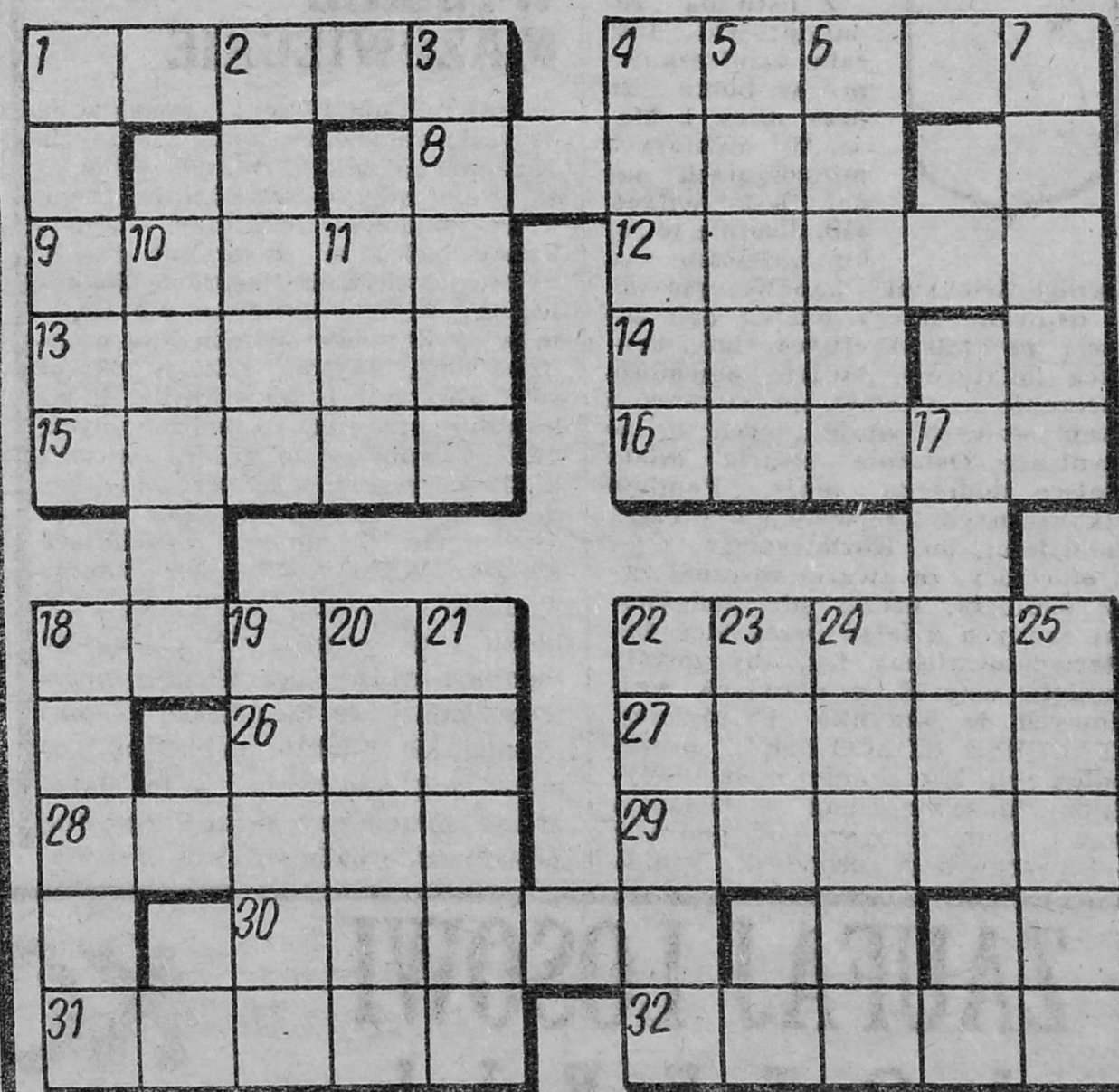
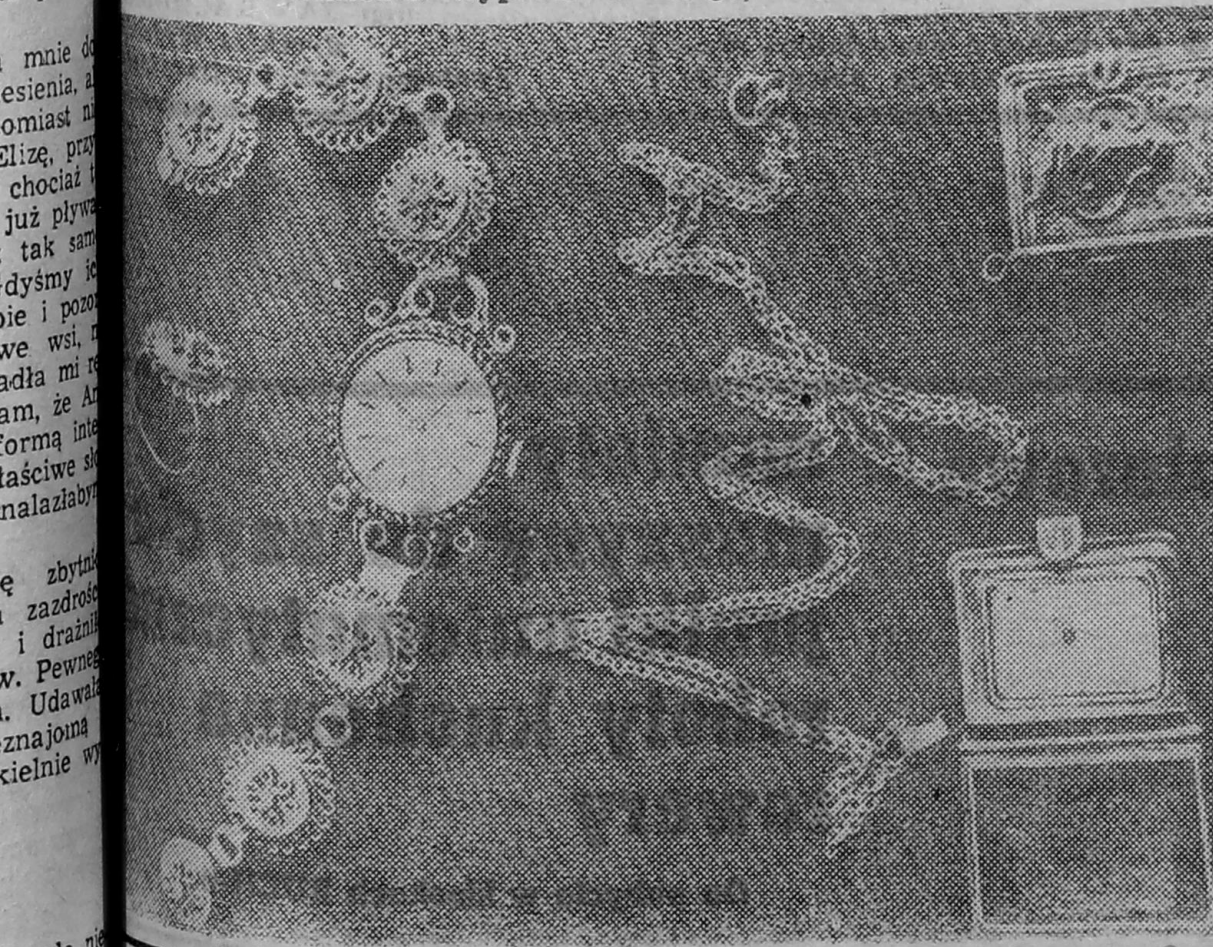
Jeszcze na początku naszego stulecia człowiek pokonywał średnio ponad 700 000 kilometrów w ciągu swego życia. Dziś chodzi mniej chętnie — zaledwie 40 000 kilometrów.

Francisco Gama, właściciel agencji specjalizującej się w ochronianiu obywateli Rio de Janerio przed złodziejami, oferuje swym klientom dwa za 300 dolarów tygodniowo. Podobno tabliczka z napisem: „Uwaga — lew” znizchęca najodważniejszych rabusiów.

Kapral armii szwajcarskiej pełniący funkcję szefa kuchni, został wsadzony do aresztu za oglądanie telewizji w godzinach pracy. Po odbyciu kary wyspał — z zemsty — do kotła potężną ilość soli. Trafili więc znowu do aresztu za „marnotrawstwo środków obronnych”.



24 tysiące dolarów kosztuje najdroższy zegarek świata. Pokazuje miesiące, znaki Zodiaku, fazy Księżyca, obieg Księżyca i Słońca oraz ma budowane astrolabium. Wyprodukowali go, oczywiście, Szwajcarzy.

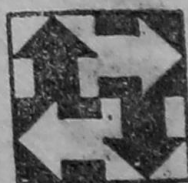


POZIOMO: 1) koń maści siwej, 4) obieżyświat, 8) książę Nowogrodu, założyciel dynastii Rurykowiczów, 9) pracownik zakładu włókienniczego, 12) zespół Marka Grechuty, 13) miara drogi kamieni, 14) prawy dopływ środkowej Warty, 15) utwór Chateaubrianda, 16) harcerz, 18) współtwórca „Manifestu komunistycznego”, 22) miasto w Polsce znane z produkcji autobusów, 26) mocne piwo angielskie, 27) producentka mleka, 28) chaos, harmider, 29) pracownik folwarczny, 30) „Tosca”, „Aida”, 31) mała siatka na kiju do podchwytywania ryb, 32) tytuł znanego polskiego serialu telewizyjnego.

PIONOWO: 1) materiał w kieliszku, 2) przekonanie, 3) odrobina, 4) stan snu w hipnozie, 5) bazar, targ, 6) rybka akwariowa, 7) Kolodziej, 10) małpkaka zaliczana do lemurów, 11) młara grubości desek, 17) porozumienie, 18) drobna roślina zarodnikowa nie mająca korzeni, lecz chwytniki, 19) brazylijski pisarz i działacz socjalistyczny (1892–1953), 20) samica łosia, 21) pies w swetrze, 22) powieściopisarka norweska (1846–1905), główna przedstawicielka naturalizmu, 23) ma potężny dziób, 24) umożliwiała dokonywanie zapiszków, 25) znany ludowy poeta mazurski. (HCL)

Wśród Czytelników, którzy w ciągu 10 dni nadesłali prawidłowe rozwiązanie, rozdajemy nagrody książkowe.

stragan pod trzynastką



WIEŚCI GRODZKIE



Od czerwca obowiązują nowy rozkład jazdy; we wrześniu szykuje się podwyżka cen biletów autobusowych; czy po tych decyzjach można oczekiwać poprawy funkcjonowania komunikacji samochodowej?

JÓZEF IDZKOWSKI, dyrektor Oddziału KPKS-u w Zambrowie: — Podwyżka cen biletów niczego nie zmienia w funkcjonowaniu Oddziału; my zarobionych w ten sposób pieniędzy nie dostaniemy, jedynie minister Nieiekarz będzie mógł zmniejszyć dotacje dla PKS-u. Nie będzie więc dodatkowych pieniędzy na zakup taboru ani na podwyżki wynagrodzeń pracowników. Niestety, w nowym rozkładzie jazdy nie ma też dodatkowych dogodnych połączeń. Z braku taboru musieliśmy nawet zlikwidować linię autobusu pośpiesznego z Sokół do Warszawy. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś nasze autobusy jeździły do Suwałk czy Goldapi. Właśnie ich brak jest głównym powodem naszych trudności. Wszystko zaczyna się od planowania rozkładu jazdy na podstawie rozdzielników pojazdów.

Bywa, że rozkład wchodzi w życie, a autobusów jak nie było, tak

ZAMBROW

nie ma. W tym roku otrzymaliśmy tylko dwa, i to w wersji miejskiej, czyli nie nadające się na dłuższe trasy. Musimy więc obsłużyć zaplanowane linie tymi, które posiadamy. Urząd Wojewódzki z zasady nie godzi się na likwidację wcześniej zaplanowanych kursów. W tej sytuacji autobusy eksploatowane są ponad normę, co przyspiesza ich zużycie. Przeciwnie są też kierowcy, nierzadko pracujący po 12 godzin. Przepelnione autobusy i przemęczeni kierowcy to główne przyczyny konfliktów, jakie wybuchają na przystankach. Kiedy sprawy trafiają do mnie, zawsze tłumaczę kierowcom, że powinni ustąpić pasażerom, nawet gdyby akurat mieli rację, ale nie każdy to rozumie. Mimo tych problemów możemy pochwalić się faktem istnienia sprawnych połączeń ze wszystkimi gminami. Dobrze też działa, moim zdaniem, komunikacja z Łomżą. Byłaby jeszcze lepsza, gdyby koledzy z łomżyńskiego oddziału podstawiali na tę trasę przynajmniej tyle autobusów, co my. Niewiele mam więc dobrych informacji dla naszych pasażerów, jedynie radę: jeśli chcą być pewni, że bez problemu wyruszą w podróż, powinni wcześniej kupić bilet.



W czasie Konferencji Miejsko-Gminnej PZPR w Kolnie delegaci zwrócili uwagę na niebezpieczeństwo zaniechania budownictwa mieszkaniowego w mieście. Zobowiązali w uchwale władze polityczne miasta do wyjaśnienia problemu.

JAN GAWRYCH, I sekretarz KMG PZPR: — Sprawa jest wyjaśniona; w najbliższych dniach poinformujemy też o tym naszą egzekutywę. Obawy delegatów budziła sprawa budowy w Kolnie oczyszczalni ścieków. Zapadła już decyzja: będzie

KOLNO

budowana. W tym roku z funduszu wojewódzkiego przyznano nam 4,5 miliona złotych na przeprowadzenie prac przygotowawczych. Mimo wcześniejszych przygotowań do budowy oczyszczalni, zostanie ona uruchomiona dopiero po 1990 roku. Do tego czasu mamy pozwolenie na budowę sześciu bloków. Pochodzące z nich ścieki będą kierowane do osadników, zlokalizowanych przy szalecie miejskim, ok. 500 metrów od budynków. Gdyby się okazało, że nie będzie gdzie odprowadzić ścieków, wzniesienie budynków wstrzymamy i wówczas przerwa w budownictwie mieszkaniowym może być dłuższa.



Z listu do redakcji: „Od 1980 roku zamieszkujemy w bloku 2d przy ulicy 1 Maja. W niektórych mieszkaniach nadal jest wilgoć. Kilkakrotnie w roku zalewane są piwnice ściekami kanalizacyjnymi, co usuwane jest z wielką opieszałością po kilkakrotnych interwencjach lokatorów. Awaryje powodują niszczenie artykułów spożywczych i przemysłowych znajdujących się w piwnicach. Ostatnia awaria miała miejsce siódmego maja. Pomimo kilkakrotnych interwencji u prezesa Spółdzielni, ob. Kozłowski, i jego obietnic, że awaria zostanie zaraz usunięta, prezes nie podejmował żadnych działań przez pięć dni. Interweniowaliśmy też, aby zostały usunięte usterki w drzwiach wejściowych do budynku i piwnicy.

TADEUSZ KOZŁOWSKI, prezes Spółdzielni Mieszkaniowej w Wyszuki Mazowieckiej: — Ostatnia awaria miała miejsce po godzinie 15 i pracownicy gospodarki komu-

WYSUKIE MAZOWIECKIE

nalnej nie zdołali tego samego dnia oczyścić studzienek kanalizacyjnych. Następnego dnia został już tylko osad, ale odpływ utrudniały progi, które zbudowali lokatorzy. Mieszkańcy bloku za zniszczenie rzeczy w piwnicach wnieśli sprawę do kolegium. Jednak kolegium nie uznało winy Zarządu Spółdzielni i poradziło nam, abymy z kolei lokatorów oskarżyli o niewłaściwe użytkowanie urządzeń kanalizacyjnych. Jest prawdą, że po każdej awarii, kiedy oczyszczane są przewody kanalizacyjne, z rur wyjmujemy obręski, pierze i inne zapychające rzeczy. Wielokrotnie już naprawialiśmy drzwi wejściowe do bloku i do piwnic, ale lokatorzy tego nie widzą, lecz ulegają wpływom jednego z nich, który notorycznie ich buntuje przeciwko administracji Spółdzielni; a to dlatego, że skarciliśmy go za nielegalne zabudowanie balkonu.

Używanie imienia i nazwiska jest nie tylko obowiązkiem, ale także i prawem każdego człowieka. Stawiamy one jego dobro osobiste i podlegają ochronie cywilnoprawnej.

Ponieważ kwestię tę reguluje zarówno prawo administracyjne, jak i cywilne, należy wskazać na wzajemny stosunek tych przepisów oraz rozróżnić zmianę nazwiska lub imienia w trybie administracyjnym, przewidzianym ustawą o zmianie imion i nazwisk, od zmiany, jaka następuje na podstawie przepisów prawa rodzinnego lub prawa o aktach stanu cywilnego.

Zmiana nazwiska lub imienia na podstawie przepisów kodeksu rodzinnego i opiekuńczego oraz prawa o aktach stanu cywilnego jest wynikiem przewidzianych w tych przepisach zdarzeń. Należą do nich: zawarcie małżeństwa, jego unieważnienie, czy też rozwiązanie przez rozwód, uznanie dziecka, przysposobienie, nadanie dziecku imienia i inne.

Natomiast zmiana nazwiska lub imienia na podstawie przepisów ustawy o zmianie imion i nazwisk (tekst jednolity Dz. U. z 1963 r., nr 59, poz. 323) następuje zawsze na wniosek strony, a decyzja administracyjna wydana w tym trybie nie wywołuje (poza orzeczoną zmianą

Zmiana administracyjna

o zmianę nazwiska lub imienia) zamiarze ułatwienia sobie działalności przestępczej albo uchyla od odpowiedzialności cywilnej lub karnej.

◆ gdy wnioskodawca ubiega się o zmianę swego nazwiska czy imienia na nazwisko historyczne, właściwe na polu kultury i nauki, działalności politycznej, społecznej albo wojskowej.

Zarówno pozytywne, jak i odmowne załatwienie wniosku o zmianę nazwiska lub imienia wymaga wnikiwej i wszechstronnej analizy stanu faktycznego oraz podany przez wnioskodawcę przyczyn.

Organem orzekającym w tych sprawach jest dyrektor Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Wojewódzkiego, kierownik Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Miejskiego dla miasta, w którym jest siedziba województwa oraz dla miasta powyżej 30 tys. mieszkańców. Właściwość miejscową organu orzekającego określa się według miejsca zamieszkania wnioskodawcy.

jak zmienić imię lub nazwisko

imienia lub nazwiska) innych zmian w stanie cywilnym danej osoby.

W myśl art. 2 tej ustawy zmiana nazwiska może nastąpić tylko z ważnych przyczyn, do których w szczególności ustawodawca zalicza następujące:

◆ gdy wnioskodawca nosi nazwisko o brzmieniu ośmieszającym albo nie licującym z godnością człowieka,

— o brzmieniu mającym formę imienia,

◆ gdy wnioskodawca pragnie zmienić swoje nazwisko na nazwisko, którego od wielu lat używa.

Artykuł 7 tejże ustawy stanowi, że do zmiany imion mają zastosowanie przepisy art. 2 ust. 1 i 2, pkt. 1 i 2 oraz art. 5 ust. 3 i 4.

W myśl tych przepisów zmiana imienia może nastąpić również tylko z ważnych przyczyn.

Z przepisów ustawy wynika zasada stabilizacji nazwiska i imienia, a więc obowiązek posługiwania się tym imieniem i nazwiskiem, które wpisano w akcie urodzenia, a na podstawie tego dokumentu również w dowodzie osobistym. Wprawdzie ustawodawca dopuszcza zmianę imienia lub nazwiska wówczas, gdy wnioskodawca udowodni, że od wielu lat nosi inne imię czy nazwisko, jednak w tych przypadkach organ orzekający o zmianie obowiązany jest ustalić, z jakich przyczyn to nastąpiło. Jeżeli nie było w tym zlej woli, a przybranie imienia lub nazwiska nastąpiło w dobrej wierze — wniosek o zmianę może być uwzględniony. Ponadto ustawodawca w art. 3 cytowanej ustawy wymienia przyczyny, z powodu których wniosek o zmianę imienia lub nazwiska nie może być uwzględniony.

Stosownie do postanowień zawartych w tym artykule wniosek o zmianę nazwiska lub imienia nie podlega uwzględnieniu:

◆ gdy zachodzi uzasadniona obawa, że wnioskodawca ubiega się

o zmianę nazwiska lub imienia w celu ułatwienia sobie działalności przestępczej albo uchyla od odpowiedzialności cywilnej lub karnej.

Art. 4 ust. 1 stanowi, że zmiana nazwiska osoby pozostającej w związku małżeńskim wymaga zgody drugiego małżonka i rozciąga się na niego, chyba że jest on obywatelem innego państwa. Rozciągnięcie zmiany nazwiska następuje z mocy prawa. Zmiana nazwiska niepełnoletniego dziecka może nastąpić przez rozciągnięcie na niego nazwiska rodziców lub przez samodzielną zmianę nazwiska dziecka, dokonaną, jak już wspomniano, na wniosek jego przedstawiciela ustawowego.

Zmiana nazwiska obojga rodziców rozciąga się zawsze na małoletnie ich dzieci, natomiast zmiana nazwiska jednego z rodziców rozciąga się na małoletnie dziecko tylko wówczas, gdy drugie z rodziców wyrazi na to zgodę. Podobnie jest przy zmianie imienia dziecka — musi być zgoda obojga rodziców, chyba że jedno z rodziców nie żyje lub nie jest znane albo nie ma pełnej zdolności do czynności prawnych lub jest pozbawione władzy rodzicielskiej. Gdy dziecko ukończyło już 14 lat, potrzebna jest także jego zgoda.

Jeżeli rodzice nie dojdą do porozumienia co do zmiany nazwiska lub imienia dziecka, każde z nich może zwrócić się o rozstrzygnięcie do władzy opiekuńczej (sądu rejonowego).

mgr JAN RACHUBKA
dyrektor Wydziału Społeczno-Administracyjnego

KONTAKTY

ZAUF AJ LOSOWI
LOT E R I I

KONTAKTOWA

do wygrania:



Cena losu 30 zł

- ☑ telewizory kolorowe
- ☑ lodówki
- ☑ zamrażarki
- ☑ meble
- ☑ samochody
- ☑ namioty
- ☑ maszyny do szycia
- ☑ pralki automatyczne
- ☑ roboty kuchenne
- ☑ rowery

Do nabycia w kioskach RUCH-u



fragment podania do urzędu

„[...] i z względu właśnie na taką ilość medali muszę mieć

...bo nie mogę dopuścić, aby z czasem uległy one jakimś zniszczeniom przez osoby niepowołane, lub nawet moje wnuki, które będąc nieletnie szperają po wszystkich kątach i wyciągają, co się tylko da, mogą więc dobrać się i do tego, a będzie to z wielką krzywdą dla dalszych pokoleń pozbawionych na przyszłość szeregu ważnych pamiątek kombatanckich. Zaznaczam, że jest to już moje czwarte o kolei podanie i na trzy poprzednie, jak dotąd, odpowiedzi nie dostałem. Proszę więc obecnie o właściwe potraktowanie mojej pilnej sprawy [...].”

(oryginał w Urzędzie Miasta i Gminy w B.)



Rys. Henryka Cebuli

NIE PRZECENIAJ SAM SIEBIE NIECH JUŻ LEPIEJ ZROBIĄ TO SPECJALIŚCI OD HANDLU

W Stanach Zjednoczonych, które są krajem ludzi bardzo pomysłowych, powstała i znakomicie prosperuje szkoła dobrych manier. Trwający dziewięć dni kurs podstawowy kosztuje dwa tysiące dolarów od osoby. W programie oprócz innych zajęć przewidziane są lekcje spożywania obiadów przy pomocy łyżki, noża i widelca, czyli na sposób euro-

wieści ponadgminne

pejski. Anne Olivier, była modelka a obecnie właścicielka tego biznesu, z biednej dziewczyny stała się dzisiaj milionerką, uczennice i uczniowie pchają się do jej szkoły drzwiami i oknami. Tajem-

nica powodzenia uczelni polega na tym, iż zatrudnia ona Polaków w charakterze wykładowców prawidłowego spożywania zup, kotletów schabowych i śledzi.

Wreszcie nasza nauka doczekała się właściwej oceny i poważania!

KOMENTATOR

pod redakcją ekstrapocztą

Motto:
Dobrze czy źle,
byle dużo.

„Szanowny Panie Podredaktorze!

Jakoś tak ostatnio jakby dowcipu zaczyna Panu brakować, dzięki czemu łamy «Konszachty» stają się trochę jakby monotonne. Proponując zatem rozruszanie pióra, składam ofertę stałej współpracy, np. na ryczałcie lub na pół etatu. Będę Wam pisała zabawne humoreski z życia wzięte, których mam bardzo dużo z własnych obserwacji. Jeśli pomysł chwyci, w co nie wątpię, proszę przysłać mi umowę do podpisania.

Oczekuję z niecierpliwością.

IRENA KAMIŃSKA
Wąbrzeźno,
ul. Sikory 2.

„Wy..., bo innego słowa nie mam, no może jeszcze... Opa-miętajcie się trochę, a najlepiej sami złoście podania o zwolnienie was z pracy, o ile coś takiego w ogóle pracą nazwać można.

Zycząc wam wszystkiego najgorszego, pozostaję bez o-drobiny szacunku.

LUCEK z Łomży”

organ samorządowy
pod redakcją
Wiesława Gajewskiego

Konszachty

— Nie poleżę ja ci już do żadnego dołu! — wrzasnąłem, czując się srodze oszukany.

— Ja tu będę gnął, a ty z niewierną mą kochanką w tym czasie rozkoszuj się sobie zażywał?

— He?! — zdumiało się widmo. — To i ty też jesteś jej kochankiem? Wiedz otóż, że mnie tylko jednego ona kocha i nie wierzę ci w ani jedno słowo!

— Panie trupie! — odparłem urażony. — Nigdy w życiu kobiety jeszcze nie znalazłem, ale też kłamstwem usta moje także się nie skalają! Nie jestem jej kochankiem, wszelako miałem nim zostać, gdy się tu udam i zrobię, co mi rozkazała.

— Człowieku głupawy — odparło truchło na to. — Ja nie jestem trupem żadnym, jeno żywym jako i ty mężczyzną, tylko tym ostatnim trochę więcej od ciebie jakby.

Wampirella ma bowiem takie upodobania, że kiedy ze mną zadać się zapragnie cielesnie,

KRYZYSOWE JEDNO DANIE

sałata po słoicku

Kilogram sałaty, kupionej za czterdzieści złotych, namoczyć w wodzie utlenionej, trzymać 48 godzin, zlać, zalać spirytusem, wymoczyć, odlać, przedestylować i po osuszeniu odwirować. Spożywać bez dodatku śmietany.

GOSPODYN!

uniwersalna wróżba tygodnia

Istnieją podstawy, aby przypuszczać, że w tym tygodniu, tak samo zresztą jak i w zeszłym, znowu zapaskudzisz sobie opinię. Ajajaj...

KASSANDER

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

listo-podanie

Panie Redaktorze! Niech mi Pan pomoże [...]

Proszę. Oto kawałek życia!

Ogromna, stara maszyna (ciągle zepsuta)

A przy niej drobna, młodzieńcza dziewczyna

Ręce spuchnięte. Twarz śliza (zimno)

Za 7500 start swój zaczyna

I oprócz swoich innych pleców nie ma!

Ani ojca inspektora co lokum przytłumi

Ani wujka rewizora co się o nią zmartwi

Ani babci spryciuchy co wyskoczy po kożuchy —

czarna moja dola!

Orle nie jestem, kopii nie kruszę

Lecz aby przeżyć muszę sprzedać swoją duszę!

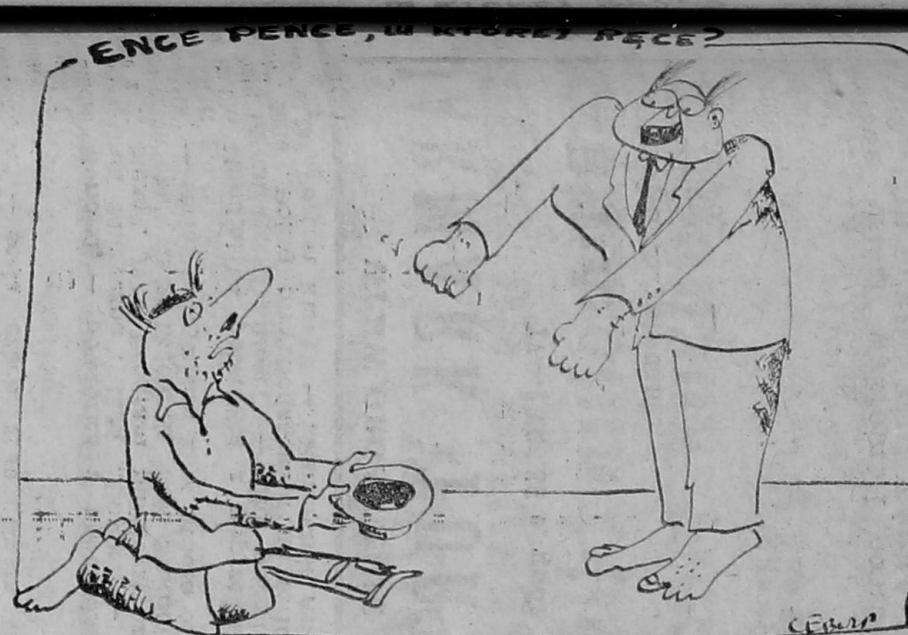
Inaczej z miejsca nie ruszę —

„poznam bogatego pana, najlepiej z USA w celu

matrymonialnym”

DIADA

Nota biograficzna: całkowity anonim. Na kopercie stempel poczty w Zambrowie.



Rys. Henryka Cebuli

MINI-KABARET PIEKIEŁKO PRZEDSTAWIA DRAMAT

INTERPERSONALNO-ADMINISTRACYJNY

PT.

SZCZĘŚLIWY POWRÓT

(Miejsce akcji: pulwy nadnarwiańskie w pobliżu wojewódzkiego miasta Łomża, gdzie krząta się mamory oraz oczyszczalnia ścieków. Przy niezbyt wesoło trzaskającym ogniu rachitycznego ogniska, siedzą cztery dobrze znane nam diabły).

SUPRASKI: — Kuliedzy! Zanim przejdziemy do jakiegogo podsumowania, najpierw przejdźmy, jak to się mówi, do sprawy. A sprawa jest taka, że trzeba wreszcie zacząć działać!

BUZAŃSKI: — A to niby kiedy? Ze nie pytam, jak. Jedenasty już tydzień ogonów swoich nie odrywamy od gościnnej ziemi nadnarwiańskiej. I chociaż nadpulwiańska oczyszczalnia ścieków całkiem prawidłowo pachnie, to jednak słabo mi się zaczyna robić od tego posiadowania.

NARWIAŃSKI: — Cóż za nędzny z was diabeł, kolego Buzański! Niespełna trzy miesiące tkwicie na kolejnej owocnej naradzie i już wam wystarczy? Bierźcie przykład z ludzi coniejakich. Ci, bywa, wchodząc w życie idą na nara-dę, by do końca dni swoich nie podnieść więcej z krzeseł zadków. O, to jest postawa!

BUZAŃSKI: — Z prawdziwym wstydem wyznaję, iż pod tym względem słabszy jestem od coniejakich. Nie mam ja tej kondycji ni wprawdy do takiej sprawy. Osobiście wolę już działać, choć tego nie lubię, w dodatku bardzo.

BIEBRZAŃSKI: — Słucham? Czyście coś mówili przypadkiem?

SUPRASKI: — Obserwuję ja was od dwóch tygodni, i co ja widzę? Otóż widzę, iż bezecnie sobie przysypiacie!

NARWIAŃSKI: — Z przysypianiem nie wolno karać! Coniejacy życie całe na nara-dach przesypiają. Siedzi taki prosto, długopis trzyma w dłoni, uśmiecha się nawet, a śpi! A sny ma przy tym ja kie! Ludzie, to znaczy diabły! Śnia mu się zwykle sny o władzy!

BIEBRZAŃSKI: — Ciłłłł! po co zaraz wywoływać o-wieczkę z lasu? Lepiej już co innego w naszych dyskusjach plenarnych ponaprawiajmy. Na kelnerów chyba nikt z nas ostatnio nie nastawał, co?

NARWIAŃSKI: — Słusznie! Czemu to smółków nam ostatnio nie dostarczają?

(Cdn)